



Romuald Spasowski

SPOWIEDŹ AMBASADORA

Opracowanie i redakcja: Mariusz M. Brymora

universitas

SPOWIEDŹ AMBASADORA

R o m u a l d S p a s o w s k i

SPOWIEDŹ AMBASADORA

Opracowanie i redakcja
Mariusz M. Brymora

K r a k ó w

© Copyright by Estate of Romuald Spasowski

© Copyright for this edition by Mariusz M. Brymora
and Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych
UNIVERSITAS, Kraków 2022

ISBN 978-83-242-3863-7
e-ISBN 978-83-242-6668-5
TAiWPN UNIVERSITAS

Opracowanie redakcyjne
Agnieszka Toczko-Rak

Projekt okładki i stron tytułowych
Sepielak

Na okładce
Prezydent Reagan osobiście odprowadza Spasowskich do samochodu
po spotkaniu w Białym Domu 22 grudnia 1981

Wszystkie zdjęcia wykorzystane w książce pochodzą z prywatnego archiwum Wandy i Romualda Spasowskich. Numery 49, 50, 56, 57, 58, 60, 61, 62, 65 to oficjalne zdjęcia z archiwów Białego Domu. Zdjęcie wykorzystane na okładce udostępniła Biblioteka Ronalda Reagana w Simi Valley, Kalifornia. W przypadku wymienionych poniżej zdjęć podano następujące źródła pochodzenia: nr 36 – ACKAD, nr 30 – Scandinavian Airlines System, nr 32 – Washington News Photo, nr 37 – Republic News Pictures, nr 38 – Capital News Photo, nr 39 – Gopal Chitra Kuteer, nr 43 – Singapore Ministry of Culture, nr 51, 59 – archiwum Departamentu Stanu USA, nr 53 i 54 – Pontifica Fotografia Felici.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żaden fragment niniejszej publikacji nie może być przedrukowany, powielany lub przesyłany w żadnej formie bez uprzedniej pisemnej zgody autora opracowania i wydawców.

Wandzie

Bóg trzymał mnie przed sobą jak lampkę maleńką
I osłaniał od wiatru, i twarz swą oświecał
Błądłem – On znowu ogienek rozniecał
Jakby się bał co będzie, gdy sadzą zadymię
Zapełgam i szernieję, gasząc jego imię.

Ernest Bryll, *Bóg trzymał mnie przed sobą...*

Spis treści

Podziękowania	11
Wstęp	13
Przedmowa	23
Część I. Młodość i wojna (1920–1945)	27
Część II. Kariera i sumienie (1945–1970)	257
Część III. Upadek ideałów (1970–1981)	497
Część IV. Ucieczka (1981)	687
Epilog	713
Indeks osób	717

Podziękowania

Pragnę złożyć serdeczne podziękowania Profesorowi Jakubowi Grygielowi – za wyrażenie zgody na wydanie w Polsce pamiętników ambasadora Romualda Spasowskiego – a także Profesorowi George’owi Weigelowi – za zgodę na wykorzystanie w tej książce jego przedmowy do drugiego wydania amerykańskiego.

Wyrażam ogromną wdzięczność dyrekcji oraz pracownikom Hoover Library and Archives w Stanford University, którzy udzielili mi wszechstronnej pomocy w procesie badania archiwów ambasadora Spasowskiego.

Bardzo dziękuję Wydawnictwu Universitas za podjęcie propozycji współpracy nad niniejszą książką.

Bez życzliwości powyższych osób i instytucji, a także wsparcia i zachęty udzielonych mi przez przyjaciół i znajomych w Polsce i w Stanach Zjednoczonych, wydanie *Spowiedzi ambasadora* nie byłoby możliwe.

Mariusz M. Brymora

Wstęp

Nie mogę zacząć tego tekstu inaczej niż od wspomnienia dwóch sytuacji sprzed lat. Późnym wieczorem 20 grudnia 1981 roku jak co dzień włączyłem Głos Ameryki, aby dowiedzieć się, co dzieje się w Polsce. Cierpliwie wykonując precyzyjne ruchy pokręteł radioodbiornika służącym do strojenia częstotliwości, próbowałem pokonać działanie urządzeń zagłuszających. Tym razem miałem dużo czasu, gdyż kilka dni wcześniej, w obawie przed eskalacją protestów wobec wprowadzonego właśnie stanu wojennego, władze czasowo zamknęły wszystkie uczelnie, a studenci odesłani zostali na niespodziewane, acz przymusowe „wakacje”. Studencki Komitet Strajkowy na Wydziale Humanistycznym lubelskiego UMCS-u, którego byłem przewodniczącym, został zmuszony do przerwania strajku i zawieszenia działalności. Wieczorne serwisy Głosu Ameryki nadawały właśnie oświadczenie byłego już ambasadora PRL w Waszyngtonie, Romualda Spasowskiego, wygłoszone kilka godzin wcześniej w siedzibie Departamentu Stanu w amerykańskiej stolicy. Poprzedniego dnia został on najwyższym rangą przedstawicielem obozu socjalistycznego, który poprosił o azyl na Zachodzie. Informacja o ucieczce ambasadorów Spasowskiego i Rurarza (ten drugi stał na czele placówki w Tokio) była dla wszystkich w Polsce ogromnym szokiem. Z niedowierzaniem słuchali relacji o niej tacy jak ja, działacze Niezależnego Zrzeszenia Studentów, którym postępek ambasadorów jawił się jako przejaw bohaterstwa i wsparcia dla sprawy, o którą wszyscy walczyliśmy. Z nieporównanie większym zdumieniem musieli przyjąć ją członkowie komunistycznego aparatu władzy, dla których był to policzek wymierzony przez własnych kamratów, zajmujących eksponowane stanowiska w ich – jak się wydawało – nienaruszalnym świecie. Przyznał to między innymi ówczesny Minister Spraw Zagranicznych PRL Józef Czyrek, który stwierdził, że znając Spasowskiego jako człowieka, a także jego poglądy, w pełni mu ufa i że ucieczka ambasadora jest dla niego szokiem¹. Była to reakcja jak najbardziej zrozumiała, przecież w najważniejszej za żelazną kurtyną stolicy świata nie umieszczono by niepewnego człowieka. A tu nagle taka rejterada...

Dwadzieścia pięć lat później, jako radca Ambasady RP w Waszyngtonie, poznałem panią Wandę Spasowską, wdowę po ambasadorze, z którą odbyłem kilka

¹ Wypowiedź z filmu dokumentalnego *Ambasador Spasowski*, reż. Tadeusz Śmiarowski, TVP S.A., 2009.

długich spotkań *tête-à-tête*, aby wysłuchać jej opowiadania o mężu i ich dyplomatycznym życiu. Co najmniej z kilku powodów pani Wanda wydała mi się osobą godną współczucia, którą życie doświadczyło niezwykle boleśnie. Wówczas też po raz pierwszy pomyślałam, że historia Spasowskiego to temat zasługujący na okazanie mu większego zainteresowania, a być może podzielenie się nim z szerszą publicznością. Nie przypuszczałam jednak, że za kolejnych piętnaście lat będę pisał te słowa jako *Wstęp* do polskiego wydania pamiętników Romualda Spasowskiego, które po trzydziestu sześciu latach od ich amerykańskiej premiery doczekały się publikacji w Polsce.

W kwietniu 1986 roku książka *The Liberation of One*² odbiła się szerokim echem w politycznych, dziennikarskich i polonijnych kręgach Stanów Zjednoczonych. Publicznie gratulując autorowi, Prezydent Ronald Reagan ocenił ją jako „najlepszą książkę o komunizmie i Polsce, jaką kiedykolwiek czytał”. „Jest mi pan dłużny trzy noce – powiedział do Spasowskiego podczas spotkania w Białym Domu w 1987 roku – bo tyle bez przerwy czytałem pana książkę i nie mogłem jej odłożyć, dopóki nie skończyłem”. Wkrótce po jej amerykańskim wydaniu pojawiły się tłumaczenia na języki francuski i niemiecki. Pod koniec 2021 roku ukazało się w USA drugie wydanie amerykańskie, zatytułowane *Romek & Wanda: The Greatest Political, Faith & Love Story of the Twentieth Century*³.

Trudno wytłumaczyć, dlaczego historia Spasowskiego, spisana przez niego samego w ciągu kilku pierwszych lat po ucieczce, nigdy poważnie nie zainteresowała polskich wydawców. Druga połowa lat 80. była w naszym kraju czasem dogorywania władzy komunistycznego reżimu. Zdyskredytowanie autora i ukrywanie jego książki stały się wtedy celem zorganizowanej akcji PRL-owskich służb specjalnych, które dołożyły wszelkich starań, żeby publikacja nie trafiła do Polski. Oprócz przedstawicieli władzy, wiedzieli o niej wówczas jedynie utrzymujący związki z Zachodem działacze demokratycznego podziemia oraz słuchacze niezależnych rozgłośni radiowych, gdzie można było posłuchać wywiadów z autorem (np. jego rozmowy z Jackiem Kalabińskim w RWE w lipcu 1986 roku). Sporadyczne polskie recenzje *The Liberation of One* były – co oczywiste – mocno tendencyjne i próbowały uczynić ze Spasowskiego nie tylko dyplomatycznego dyletanta, lecz jeszcze gorszego literata i życiowego fałtłapę. Niestety, do autorów tych prześmiewczych ocen dołączyły także niektóre „sztandarowe pióra” rodzimego dziennikarstwa. W rozpoczętą natychmiast po ucieczce i zakrojoną na szeroką skalę operację skompromitowania Spasowskiego zaangażowano co najmniej kilkunastu rezydentów i tajnych współpracowników bezpieczeństwa w USA. Według dokumentów znajdujących się w archiwach IPN

² Ambasador Spasowski nadał swoim wspomnieniom roboczy tytuł *Wyzwolenie jednego człowieka*, co w oczywisty sposób nawiązywało do najważniejszej książki jego ojca, Władysława, zatytułowanej *Wyzwolenie człowieka*, wydanej w 1933 roku. Pamiętniki Romualda Spasowskiego zostały po raz pierwszy wydane w USA w 1986 roku przez Harcourt Brace Jovanovich, Publishers.

³ *Romek i Wanda: najwspanialsza historia o polityce, wierze i miłości XX wieku* (zob. również przypis nr 5).

w operacji pod kryptonimem „Szpar” uczestniczyli także ludzie z najbliższego otoczenia ambasadora, w tym jego zięć, Andrzej Grochulski, ps. „Grog”. W tym samym czasie w Polsce toczyło się intensywne śledztwo przeciwko oskarżonemu o zdradę Spasowskiemu. W charakterze świadków przesłuchano wielu byłych współpracowników ambasadora – wśród nich zarówno jego dawnych zwierzchników, jak i podległych mu pracowników. Dziwnym trafem wszyscy oni wyrażali w zeznaniach swoje zdumienie, że dyplomatyczny nieudacznik pokroju Spasowskiego mógł zajmować tak wysokie stanowiska w polskiej dyplomacji, zgodnie przy tym twierdząc, że nie znają odpowiedzi na pytanie o jego „protektorów”, którzy stali za kolejnymi awansami i nominacjami ambasadora. Niewątpliwie strach przed władzą stanu wojennego miał wówczas wielkie oczy.

Tymczasem, w wyniku decyzji pani Wandy, polski oryginał tekstu wspomnień trafił z mieszkania Spasowskich w Oakton pod Waszyngtonem do archiwów Instytutu Hoovera w Stanfordzie. Tam, wraz z całym zbiorem dokumentów i pamiątek, tworzy kolekcję, którą nazwano „Spasowski Papers”. W rezultacie wszystkich powyższych okoliczności pamiętniki ambasadora zostały w pewnym sensie utrzymane w tajemnicy przed szeroką publicznością polską nie tylko w latach 80. czy 90., ale aż do dzisiaj.

Wydarzenia, które sprawiły, że o Romualdzie Spasowskim usłyszał cały świat, rozpoczęły się w sobotę po południu, 19 grudnia 1981 roku. To wtedy, po trzydziestu pięciu latach, dziewięciu miesiącach i jednym dniu służenia sprawie komunizmu⁴, ten PRL-owski dyplomata i partyjny aparaczyk, od dawna targany coraz większymi wątpliwościami, wymawia służbę moskiewsko-warszawskiemu reżimowi. W reakcji na wprowadzenie w Polsce stanu wojennego i uwięzienie przywódcy Solidarności Lecha Wałęsy, prosi o azyl w USA. Tego samego dnia wieczorem samochody FBI zabierają polskiego ambasadora z jego waszyngtońskiej rezydencji wraz z żoną, córką i zięciem. Nazajutrz Spasowski wygłasza w Departamencie Stanu oficjalne oświadczenie, które staje się dla światowych mediów wiadomością dnia, a 22 grudnia składa wraz z żoną wizytę Prezydentowi Ronaldowi Reaganowi w Białym Domu. Dla obu stron jest to bardzo emocjonalne spotkanie, po którym wydarza się rzecz niezwykła – Prezydent w siąpiącym deszczu osobiście odprowadza państwa Spasowskich do samochodu, trzymając ponad całą trójką parasol. Taka sytuacja nie zdarzyła się w Białym Domu ani nigdy przedtem, ani nigdy potem. Polskie władze komunistyczne natychmiast uznają swojego ambasadora za zdrajcę i dezertera, a przebrani w wojskowe mundury dziennikarze reżimowej telewizji do znudzenia powtarzają oświadczenie MSZ-etu, w którym próbuje się uczynić ze Spasowskiego niezrównoważonego psychicznie renegata. W 1982 roku Izba Wojskowa Sądu Najwyższego w Warszawie zaocznie skazuje go na karę śmierci i przepadek mienia. Trzy lata później Rada Państwa pozbawia go obywatelstwa polskiego.

Po ucieczce państwo Spasowscy zamieszkują w Virginii, a ambasador spędza kolejne lata na pisaniu swojej „spowiedzi”. Amerykanie zapewniają im mieszka-

⁴ Okres wskazany przez Romualda Spasowskiego w tekście pamiętników.

nie, ochronę i wynagrodzenie. Przez długi czas żyją w ukryciu, nosząc fałszywe nazwisko i pozostając pod specjalną opieką CIA. Nawet na spotkania z amerykańskimi znajomymi obydwoje przychodzą w przebraniach. Ich dane kontaktowe i miejsce pobytu chronione są tajemnicą. Kiedy ktoś chce skontaktować się z ambasadorem, musi zadzwonić na numer kontrolowany przez CIA i zostawić wiadomość. Spasowski oddzwania tylko wtedy, gdy uznaje to za stosowne. Po raz pierwszy od czasu ucieczki pokazuje się publicznie podczas otwartego spotkania dopiero 2 kwietnia 1986 roku, w dniu zorganizowanej przez wydawcę promocji jego książki. Na wieczór autorski do Hotelu The Watergate w Waszyngtonie przybywa 250 osób. W kolejnych miesiącach, w ramach promocji książki, były ambasador jeździ po Ameryce z wykładami o Polsce. W tym czasie odbiera też tytuły doktora honoris causa kilku uczelni. Mimo uniewinnienia i przywrócenia mu polskiego obywatelstwa, już nigdy nie przyjeżdża do Polski. Nie zobaczy więcej swojej ukochanej matki. Nie może być w kraju w 1984 roku, kiedy została ona uhonorowana przez Instytut Yad Vashem tytułem Sprawiedliwej Wśród Narodów Świata za ukrywanie w czasie wojny kilkunastu Żydów w Willi Róża – ich rodzinnym domu w Milanówku, przy ulicy Piasta 17.

Po przemianach ustrojowych 1989 roku historia tego nietuzinkowego komunisty i dyplomaty odchodzi nieco w zapomnienie, pomimo faktu, że w kolejnych latach jego nazwisko wraca do serwisów informacyjnych przy takich okazjach, jak decyzja o jego rehabilitacji podjęta przez Izbę Wojskową Sądu Najwyższego jesienią 1990 roku, czy ponowne przyznanie mu polskiego obywatelstwa przez Prezydenta Lecha Wałęsę w 1993 roku. Uważniejszemu obserwatorowi z pewnością nie umknęły też pojawiające się od czasu do czasu w polskich mediach informacje o staraniach Wandy Spasowskiej o odzyskanie skonfiskowanego przez komunistyczne władze majątku. Dopiero w 2011 roku wyrok Sądu Okręgowego w Warszawie, przyznający wdowie odszkodowanie, zakończył trwającą ponad dekadę serię rozpraw sądowych.

Od początku lat 90. Spasowski cierpi z powodu raka. Przez długi czas odmawia jednak przyjmowania morfiny, traktując to jako akt pokuty za grzechy wobec narodu polskiego. Z tego samego powodu nie chce przyjąć paszportu amerykańskiego. Robi to dopiero na łożu śmierci. Nie próbuje usprawiedliwić swojego postępowania, wręcz przeciwnie – gnębi go poczucie winy. „Dużo zawiniłem wobec narodu polskiego, przyłączając się do komunistów” – przyznaje między innymi we wspomnianym już wywiadzie radiowym z Jackiem Kalabińskim. W sierpniu 1995 roku przegrywa walkę z chorobą nowotworową. Według jego najbliższych umiera w przekonaniu, że jego cierpienie było pokutą za zło, którego dokonał w życiu. „Jedyne, co mogę złożyć u stóp Chrystusa jako pokutę, to moje cierpienie” – miał powiedzieć do żony.

Tyle suche fakty. Pozostają jednak pytania, na które odpowiedzieć najtrudniej. Kim w takim razie był Spasowski? Prawdziwie nawróconym komunistą czy łajdakiem i cwaniakiem? Czy jego decyzja była odważną ucieczką czy dezercją? Czy należy mu się pochwała dla bohatera czy potępienie dla zdrajcy?

Osoba Romualda Spasowskiego broni się przed prostym zaszufadkowaniem. Nie był on postacią ani jednoznacznie pozytywną, ani negatywną; trudno uznać go za przykładowego bohatera, ale nie można też nazwać czarnym charakterem. Wkrótce po przekroczeniu swojego Rubikonu, które uznane zostało za jedną z najbardziej spektakularnych ucieczek całego okresu zimnej wojny, Spasowski zaczął pisać opowieść o własnym życiu. Stworzył ją na podstawie sporządzanych na bieżąco przez wszystkie lata swojej kariery własnych pamiętników i notatek, a także mnóstwa dokumentów. Jak sam podkreślał, robił to z dużą starannością o szczegóły, sprawdzając fakty historyczne i konsultując z żoną wszystko to, co przywodziła na myśl jego własna pamięć. Po ukazaniu się amerykańskiego wydania książki jej autor deklaruje: „Pisząc ją, kierowałem się tylko i wyłącznie prawdą – o mnie i o wydarzeniach”.

Los nie poskąpił Romkowi (tym imieniem zwracali się do niego wszyscy bliscy i znajomi) okazji do przeżyć. Był on prawdziwym świadkiem historii XX wieku, bowiem za jego życia miały miejsce najważniejsze wydarzenia tego stulecia – od Cudu nad Wisłą, poprzez okupację hitlerowską i powstanie warszawskie, zimną wojnę, protesty robotnicze i studenckie lat 50., 60., i 70., aż po narodziny i stłumienie Solidarności. Te i wiele innych wydarzeń relacjonuje w swojej opowieści. Niemniej przez cały czas to on sam pozostaje w centrum uwagi, która skierowana jest na jego pełne niezwykłych sytuacji i okoliczności życie. Opowiada o swoich wojennych przeżyciach, osobistych doświadczeniach uczestnika procesu norymberskiego, agenta wywiadu wojskowego PRL i reprezentującego Polskę Ludową dyplomaty, któremu podczas jego długiej kariery dane było słuchać w brytyjskim parlamencie wystąpień Winstona Churchilla, być obecnym w Westminster Abbey podczas koronacji królowej Elżbiety II, oglądać motocyklowe parady Prezydenta Peróna, gościć na prywatnej kolacji u Indiri Gandhi, a w Gabinetcie Ovalnym Białego Domu rozmawiać z Eisenhowerem, Kennedym, Carterem i Reaganem.

Spowiedź ambasadora Spasowskiego jest fascynującą opowieścią o historii i polityce, miłości i zdradzie, tragedii narodu i rodziny. Autor nie tylko opisuje historię własnego życia, ale na jej tle obnaża mechanizmy komunistycznej władzy, pokazuje wstydlive oblicza polskiej służby dyplomatycznej i jej brak profesjonalizmu, ujawnia drobne prywatne interesy, którym polscy „dyplomaci” podporządkowywali swoją aktywność, demaskuje bezkarność bezpieki, a nade wszystko ukazuje przemożny wpływ Moskwy na działania zarówno tych, którzy rządzą w kraju, jak i tych, którzy reprezentowali go poza granicami. Opowiadając o sobie, Spasowski maluje słowami mocno patriotyczny i sentymentalny obraz polskiego Wołynia, opisuje codzienne życie w międzywojennej Warszawie i koszmar czasu hitlerowskiej okupacji, przedstawia geopolityczną sytuację w świecie lat zimnej wojny, widzianą oczami polskiego dyplomaty. Jego wspomnienia są tak niesamowite, że czytając je, czasami odnosi się wrażenie, że przedstawiane historie nie mogą być prawdziwe. Musimy jednak przyjąć je za dobrą monetę, bo nie mamy żadnych podstaw ani powodów, aby podważać ich prawdziwość. Nie wolno nam też zapomnieć, że kiedy autor używa sformułowania: „dziś z perspektywy lat”,

oznacza to perspektywę początku lat 80. XX wieku, a co za tym idzie – wszelkie ówczesne uwarunkowania oraz stan wiedzy na temat wydarzeń czasu PRL i zimnej wojny. To, co wtedy było odważne i odkrywcze, dzisiaj, po z górą trzydziestu latach od upadku komunizmu, może wydawać się banalne i oczywiste. Byłby to jednak osąd niesprawiedliwy i krzywdzący dla autora, bowiem dopiero kiedy uświadomimy sobie czas i okoliczności, w jakich Spasowski ujawnił historię swojego życia, możemy w pełni docenić niezwykłość i znaczenie jego opowieści.

Lektura „spowiedzi” dość jednoznacznie sugeruje, że mamy do czynienia z dwoma skrajnie różnymi Spasowskimi. Od początku tkwiło w tym człowieku wiele sprzeczności – był zaślepionym komunistą i partyjnym aparaczką (aczkolwiek krytycznie myślącym o otaczającej go rzeczywistości), a jednocześnie potomkiem zasłużonej kresowej szlachty, który odziedziczył ogromny szacunek dla polskiej tradycji i historii. „I znowu ujawniła się moja dwoistość – pisał w pamiętnikach – przy oddaniu sprawie socjalizmu i zaangażowaniu wobec partii, byłem bardzo związany z tradycją dawnej Polski”. Hołdował ideologii kraju sierpa i młota, mimo że cała rodzina jego matki za głównego wroga Polski uważała bolszewicką Rosję. Przez większość życia pozostawał zdeklarowanym ateistą, ale fascynował go św. Franciszek z Asyżu. Związek pomiędzy głęboko wierzącą katoliczką Wandą Sikorską – kuzynką Władysława, Naczelnego Dowódcy Polskich Sił Zbrojnych i premiera rządu na uchodźstwie – a zatraconym ateuszem i gorliwym komunistą, to kolejny paradoks życia Romka.

Mamy więc do czynienia z człowiekiem o podwójnej osobowości. Z jednej strony posłusznym swojej partii karierowiczem, zarozumiałym i zadufanym w sobie, który wiernopoddanie służył władzy ludowej, korzystając przy tym z przywilejów zarezerwowanych wyłącznie dla członków komunistycznej nomenklatury PRL. Będąc komunistą z przekonania, z dumą demonstrował swój ateizm, między innymi ostentacyjnie odmawiając uczestnictwa we mszy świętej. Głównym źródłem przywiązania Romka do idei komunizmu była lojalność wobec ojca, skrajnie lewicowego intelektualisty, któremu jako bardzo młody człowiek przyrzekł, że nigdy go nie zawiedzie. To pod wpływem ideałów wpojonych mu za młodu przez Spasowskiego seniora Romek obsesyjnie wierzył w państwo robotników i chłopów. Z drugiej zaś strony poznajemy sprawnego i bystrego dyplomatę, który przez większą część swojej kariery krytycznie oceniał działanie polskich władz i buntował się przeciwko zniewoleniu Polski przez Związek Radziecki. Przez wiele lat pozostawał w szponach wyniszczającej jego psychikę walki pomiędzy „brudną” i brutalną rzeczywistością czasów zimnej wojny a komunistycznymi ideałami zaaszczepionymi mu przez ojca. Na tle polskich dyplomatów czasów PRL wyróżniał się nie tylko tym, że znał kilka języków obcych. Był inteligentny, miał poczucie humoru i wygórowaną w tym zawodzie kindersztubę – cechy, które w niecałe dziesięć lat pozwoliły mu z porucznika wywiadu wojskowego stać się ambasadorem PRL w Stanach Zjednoczonych. Miał wtedy 34 lata i do dzisiaj pozostaje najmłodszym Polakiem, który piastował to stanowisko. Demonstrując niespotykaną mieszankę taktycznej elastyczności i ideologicznej poprawności, niezmiennie zajmował wysokie stanowiska w MSZ-ecie, pomimo partyjnych czystek dokonywanych

po upadkach ekip kolejnych przywódców. Amerykańscy dyplomaci, którzy mieli okazję pracować z nim w Warszawie czy Waszyngtonie, po wielu latach wspominają go jako profesjonalistę i wysoko wykwalifikowanego dyplomatę, z którym można było poważnie i rzeczowo porozmawiać o wielu sprawach, w sposób niezakłócony partyjnymi dyrektywami.

Przemiana Spasowskiego nie była rezultatem nagłego olśnienia, lecz stopniowym, trwającym przez lata procesem, wynikającym z jego pogłębiającego się rozczarowania działaniem komunistycznej władzy, partyjnymi rozgrywkami, oszukiwaniem narodu i zniewoleniem kraju przez Wielkiego Brata. Podczas drugiego pobytu w Waszyngtonie jego postawa staje się coraz bardziej proamerykańska. Po narodzinach Solidarności zaczyna z coraz większą sympatią patrzeć na działania Wałęsy i polskich robotników, które stają się nadzieją na rzeczywiste odzyskanie przez Polskę niepodległości. Jednocześnie z nawróceniem politycznym postępuje także jego przemiana religijna. Pod koniec 1980 roku, w drodze na urlop do Polski, Spasowski potajemnie składa wizytę Janowi Pawłowi II w Watykanie. Spotkanie i rozmowa z Papieżem wywierają na ambasadorze piorunujące wrażenie i według jego własnych słów mają decydujący wpływ na jego dalsze życie⁵. Wprowadzenie stanu wojennego uśmierca jednak wszelkie nadzieje i przelewa czarę goryczy. Po kilku dniach walki z samym sobą, Spasowski postanawia przejść na właściwą, jasną stronę mocy. Niewątpliwie ogromny wpływ na jego postawę i decyzję miała pani Wanda. Od początku systematycznie próbowała odciągnąć męża od partii i obrzydzić mu świat komunistów. Jego wypowiedzenie posłuszeństwa reżimowi, a tym bardziej przyjęty przez męża neofitę w wieku 64 lat chrzest święty, były jej wielkim zwycięstwem.

Tak jak głęboko różne były zachowania i działania ambasadora Spasowskiego przez większą część jego życia, tak skrajne pozostają oceny jego postawy.

Dla wielu był bohaterem i prawdziwie nawróconym komunistą, którego ucieczka znacznie ułatwiła Stanom Zjednoczonym działania na rzecz pomocy dla Solidarności i Polaków w kraju. Prezydent Reagan nazwał go „odważnym człowiekiem, który działał z najwyższych pobudek”, a Sir John Nicholas Henderson, brytyjski ambasador w Waszyngtonie – „człowiekiem niezwyklej prawości i rozsądku”⁶. Kiedy przebywający na wakacjach w Maine Zbigniew Brzeziński dowiedział się o śmierci Romualda Spasowskiego, napisał do wdowy list kondolencyjny, w którym przekazywał jej także „wyrazy wielkiego uznania dla patriotyzmu i wysokiej inteligencji (męża). Był Polsce zawsze wierny i to odczuwało

⁵ Kwestię religijnej przemiany Spasowskiego oraz wpływu Papieża Jana Pawła II na decyzje ambasadora dokładniej opisuje George Weigel w *Przedmowie* do drugiego wydania amerykańskiego pamiętników zatytułowanych *Romek & Wanda: The Greatest Political, Faith & Love Story of the Twentieth Century*, które ukazało się w 2021 roku nakładem religijnego instytutu Sacred Story Institute (dosł. Instytut Religijnych Opowieści). Misją Sacred Story Institute jest pomoc zarówno osobom prywatnym, jak i wspólnotom wiary w rozwijaniu ich relacji z Bogiem poprzez codzienną modlitwę i medytację. Polskie tłumaczenie tej przedmowy znajduje się na stronach 23–25.

⁶ Cytaty pochodzą z artykułu w „The Christian Science Monitor”: *What Lay Behind Spasowski Defection* z 23 grudnia 1981 roku.

się w każdej z Nim rozmowie. Odegrał szczególnie wielką rolę w pobudzeniu Ameryki po ogłoszeniu stanu wojennego w Polsce i w ten sposób przyczynił się walcnie do ostatecznego upadku komunizmu”⁷. Mówiąc o Ryszardzie Kuklińskim i Romualdzie Spasowskim, Richard Pipes stwierdził: „to nie byli zdrajcy, to byli patrioci polscy”⁸. Amerykański Sekretarz Stanu Alexander Haig, oceniając postępek ambasadora Spasowskiego, powiedział: „Ludzie w służbie publicznej mają wielki dylemat, jeśli nie zgadzają się ze swoim rządem. Mogą zostać, próbując ze wszystkich sił coś zmieniać. Spasowski uciekł, kiedy uświadomił sobie, że od środka nie może już nic zmienić. To nie jest łatwe, ale jest przejawem odwagi”⁹.

Innym z kolei trudno uwierzyć w przemianę członka PZPR, którego udziałem była tak wybitna kariera w PRL-owskich władzach. Zarzucają mu, że polska rzeczywistość lat 80. tak dalece odbiegała od utopijnych ideałów wpojonych mu przez ojca, że nie trzeba było wybitnego intelektu, aby dojść do wniosku, że należy się jej sprzeciwić. Jego ucieczka była rzekomo łatwym do podjęcia krokiem, który „załatwił” mu w miarę komfortową amerykańską emeryturę, podczas gdy tysiące działaczy Solidarności w Polsce zostało internowanych, a wielu skazanych na więzienie. Są też tacy, którzy mocno sugerują, że Spasowski pracował dla CIA. Rzeczywiście, prawdopodobne wydaje się to, że kiedy po otrzymaniu azylu znalazł się na utrzymaniu rządu Stanów Zjednoczonych, mógł opowiadać amerykańskim służbom o tajnej części działalności polskich placówek dyplomatycznych. Nie są jednak znane żadne dowody na to, że wcześniej był amerykańskim szpiegiem. Sam ambasador zapewnia w tekście „spowiedzi”, że „nigdy nie chciał nikomu przekazywać tajemnic i nigdy tego nie uczynił”. Spasowski niewątpliwie zdradził – ale zdradził komunistów, i nie był to gest taniej odwagi. W PRL zapłacił za niego mianem Judasza, który zaprzedał się wrogowi za kilka srebrników, utratą dobytku i wydaną na niego zaocznie karą śmierci.

Decyzja Spasowskiego oraz jego dalsze losy postawiły go w jednym rzędzie z pułkownikiem Ryszardem Kuklińskim i Zdzisławem Najderem, którzy również zostali skazani za swoje czyny na karę śmierci. Inaczej jednak niż oni, Spasowski nie został bohaterem nowej Polski. W ojczystym kraju, do którego w odróżnieniu od Kuklińskiego i Najdera nie wrócił, niemal zupełnie o nim zapomniano. Nikt nigdy nie podziękował mu za postawę i pomoc, jaką organizował ze Stanów dla wielu ludzi w Polsce. Nie oczekiwał tego od polskich władz, był wdzięczny Prezydentowi Wałęsie za przywrócenie mu polskiego obywatelstwa, ale nie ukrywał żalu, że nikt z Solidarności nie odezwał się do niego choćby z prostymi słowami wdzięczności. Do końca swoich dni żył skromnie, żeby nie powiedzieć: biednie jak na amerykańskie standardy. Wciąż borykał się z odrzuceniem przez polską diasporę, której duża część, także po 1981 roku, uważała go za *persona non grata* i nadal traktowała jako symbol dyplomatów zaprzędanych komuni-

⁷ Z listu Zbigniewa Brzezińskiego do Wandy Spasowskiej z 29 sierpnia 1995 roku, źródło: archiwa Spasowskiego w Hoover Institution, Stanford University.

⁸ Wypowiedź z filmu *Ambasador Spasowski*, reż. Tadeusz Śmiarowski, TVP S.A., 2009.

⁹ Alexander Haig w artykule *The Diplomat as Defector*, „The Washington Post”, 3 kwietnia 1986 roku.

stycznej władzy PRL. Wreszcie sprawa najważniejsza – jego czyn oznaczał dla niego karę najwyższą, karę śmierci, a w konsekwencji zagrożenie życia nawet w Stanach, gdzie musiał mierzyć się z groźbami wobec najbliższych mu osób, kiedy polskie służby podejmowały próby wytropienia jego i jego rodziny. Przez większość swoich amerykańskich lat żył w ukryciu ze względu na grożące mu niebezpieczeństwo wykonania na nim wyroku przez agentów polskich i sowieckich służb specjalnych. Po uniewinnieniu i powrocie do bardziej normalnego życia, nie zdążył się nim nacieszyć, bowiem wkrótce został przykuty do łóżka przez chorobę, a po kilku latach zmarł w bólach i cierpieniu.

Spowiedź ambasadora, którą z ogromną radością oddaję w ręce Czytelników, powstała na podstawie blisko trzech tysięcy stron maszynopisu napisanego przez Romualda Spasowskiego w latach 1982–1985. Ze względu na wymogi podyktowane obecnymi standardami wydawniczymi, tekst został znacznie skrócony, a także dostosowany do dzisiejszych reguł poprawności językowej. W moim najgłębszym przekonaniu zostało w nim wszystko, co najważniejsze, a dokonane zmiany nie wpłynęły w żadnym stopniu na jego zubożenie. Edycja tekstu, choć siłą rzeczy dość daleko idąca, dokonana została bez uszczerbku dla warstwy faktograficznej pamiętników oraz istoty przekazu, jaki został zamierzony przez autora.

Czytelnik *Spowiedzi ambasadora* często zaduma się nad niezwykłością poznawanych historii, tudzież obrazami polskiego Lwowa czy Łucka, robiącymi szczególne wrażenie w dobie obecnej wojny, wywołanej bezprecedensową inwazją Putinowskiej Rosji na niepodległą Ukrainę. Niejednokrotnie z niedowierzaniem odkryje uderzające podobieństwa opisanych w książce zdarzeń i sytuacji z epoki Gierka, a nawet Gomułki z tymi, które zna z autopsji ostatnich lat, a czasami zafrapuje go ponadczasowość ówczesnych prawd o sprawowaniu władzy, funkcjonowaniu partii politycznych czy roli dyplomacji. Mądrzejszy o wiedzę, jaką posiada dzisiaj, i obserwujący z perspektywy kolejnych trzydziestu lat historię naszego kraju, w którym w wyniku demokratycznie dokonanych wyborów także obecnie nie brak wśród sprawujących władzę ludzi wywodzących swe kariery z poprzedniego systemu, Czytelnik ten zapewne zgodzi się z konkluzją, że los nie był dla Spasowskiego zbyt łaskawy.

Ocenę życia i postępowania ambasadora pozostawiam każdemu, kto przeczyta jego historię. Mam świadomość, że będą wśród nich tacy, którzy uznają go za komunistycznego cwaniaka, który prosząc o azyl w Ameryce, uciekł przed powrotem do nędznej Polski roku 1981. Na pewno jednak znajdą się i tacy, dla których będzie on symbolem odważnego buntu przeciwko zniewoleniu narodu polskiego. Moją największą satysfakcją pozostanie to, że udało mi się przybliżyć polskiemu Czytelnikowi niewiarygodną historię życia i wyzwolenia tego człowieka¹⁰.

Mariusz M. Brymora

Warszawa, kwiecień 2022

¹⁰ Przedstawione w książce opinie o osobach i wydarzeniach są wyłącznie opiniami ambasadora Spasowskiego, za które autor opracowania nie bierze odpowiedzialności.

Przedmowa

(do drugiego wydania amerykańskiego)¹

Dokonując analizy przełomu 1989 roku oraz upadku komunizmu w Europie, papież św. Jan Paweł II podkreślił w swojej encyklice *Centesimus Annus* z 1991 roku, że podstawową wadą komunizmu był wypaczony i wyjątkowo przyziemny koncept jednostki ludzkiej w ujęciu antropologicznym. Z doświadczenia własnej, trwającej dziesięciolecia walki z reżimem komunistycznym w Polsce, Jan Paweł II wiedział wszystko o niedorzeczności ekonomii marksistowskiej oraz okrucieństwie polityki leninowskiej. Wiedział także, że te zasadnicze wady nie były, jak powiedziałby Marks, przypadkowe. Wywodziły się one w prostej linii z owego głęboko wadliwego ujęcia antropologicznego. Jeśli czyjaś koncepcja jednostki ludzkiej jest błędna, rozumował Papież, to jest bardzo prawdopodobne, że myli się on także w wielu innych sprawach.

Przez piętnaście lat poprzedzających przełom 1989 roku komunizm utrzymywał się za żelazną kurtyną dzięki systemowi tyranii państwa policyjnego, wspieranej przez to, co wielu działaczy na rzecz praw człowieka zaczęło nazywać „kulturą kłamstwa”. Komunistyczna kultura kłamstwa oraz jej zdolność do zmuszania ludzi do biernej uległości wobec żądań partii i państwa zostały najlepiej przeanalizowane w pamiętnym eseju Václava Havla z 1978 roku *Siła bezsilnych*. Havel zaproponował w nim, że „życie w prawdzie” – rozumianej jako prawda o jednostce ludzkiej stworzonej z przyrodzoną jej nienaruszalną godnością – było najbardziej skuteczną formą oporu, jaką dysydenci mogli stosować w systemie komunistycznym. I to nie tylko z tego powodu, że komuniści dysponowali monopolem siły, ale także dlatego, że „życie w prawdzie” uderzało w najbardziej czuły punkt systemu komunistycznego, czyli w jego całkowicie chybione idee dotyczące pochodzenia człowieka, ludzkiej natury i wspólnoty oraz ostatecznego celu jego istnienia.

Zagłębiając się jeszcze bardziej w przyczyny załamania systemu komunistycznego, Jan Paweł II pisał w encyklice *Centesimus Annus* o „duchowej pustce”, wytworzonej w komunistycznych krajach środkowej i wschodniej Europy przez programowy, wspierany przez państwo ateizm. Owa pustka pozbawiła tak wielu ludzi poczucia posiadania celu w życiu, że doprowadziła ich ona do „nieustannego poszukiwania własnej tożsamości i sensu życia”, aby „odkryć na nowo

¹ Tłumaczenie Mariusz M. Brymora.

religijne korzenie kultury swych narodów” i ostatecznie „odkryć na nowo samą osobę Chrystusa jako adekwatną egzystencjalnie odpowiedź na pragnienie dobra, prawdy i życia, obecne w sercu każdego człowieka”. Traktując religię jako opium dla mas, za pomocą którego właściciele środków produkcji kontrolowali uciśniony od lat proletariatus, komuniści obiecali „wykorzenić potrzebę Boga z serca człowieka”. Jan Paweł II doszedł do wniosku, że udało im się jedynie dowieść, że „nie da się tego dokonać, nie zadając gwałtu ludzkiemu sercu”.

Pamiętniki Romualda Spasowskiego (obecnie wydane przez Sacred Story Institute²) są doskonałym i inspirującym przykładem prawdziwości dokonanej przez Jana Pawła II analizy głębszych przyczyn implozji komunizmu w Europie. Kiedy zostały one opublikowane po raz pierwszy w połowie lat 80., ich oryginalny tytuł – *The Liberation of One (Wyzwolenie jednego człowieka* – przyp. M.B.) – sugerował walkę autora o wyzwolenie się z komunistycznego systemu, o którym wcześniej sądził, że jest prawdą o ludzkiej przyszłości, systemu, któremu służył przez całe dekady, zajmując wysokie stanowiska w polskiej dyplomacji. Z pewnością jest to jeden z wymiarów tej niezwyklej książki, która przedstawia młodzieńcze zauroczenie komunizmem Romka Spasowskiego, jego drogę po szczeblach kariery partyjnej i państwowej w pełnej sprzeczności Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, początki jego rozczarowania, przerażenie brutalnością użytą w celu wprowadzenia w życie stanu wojennego ogłoszonego przez generała Wojciecha Jaruzelskiego w grudniu 1981 roku, aby zniszczyć Solidarność, a także jego ucieczkę do Stanów Zjednoczonych jako urzędującego polskiego ambasadora w Waszyngtonie.

Jednakże pamiętniki Spasowskiego są także historią człowieka, który odkrywa prawdę o samym sobie, swojej duszy oraz prawdziwych zobowiązaniach wobec innych. I jest to zaiste opowieść o rodzeniu się wiary. Autor jest bezgranicznie szczery, obnażając swoją prywatną niesforność, a także ogłupienie ideologią. Wielkodusznie przyznaje przy tym, że niezachwiana wiara katolicka jego żony, Wandy, pomogła mu przebrnąć przez liczne sytuacje kryzysowe, aby ostatecznie doprowadzić go do światła wiary. W ten sposób Romuald Spasowski daje czytelnikowi XXI wieku, który zapewne niewiele wie o komunistycznej kulturze kłamstwa, niezbite świadectwo swojej walki o wyzwolenie nie tylko z okowów nikczemnej i godnej pogardy tyranii, ale także walki o to, by zostać wyzwolonym do prawdy przez łaskę Boga, za pośrednictwem osoby o chrześcijańskiej moralności, jaką była Wanda Spasowska.

W styczniu 1945 roku dwudziestopięcioletni Romek Spasowski mieszkał w Warszawie, „kamiennej pustyni zasypanej śniegiem i ściśniętej mrozem”, całkowicie zniszczonej w trakcie i po upadku powstania warszawskiego. Trzydzie-

² Pamiętniki Romualda Spasowskiego zostały po raz pierwszy wydane w USA w 1986 roku przez Harcourt Brace Jovanovich Publishers pod tytułem *The Liberation of One (Wyzwolenie jednego człowieka)*. W 2021 roku staraniem Sacred Story Institute (dosł. Instytutu Religijnych Opowieści) ukazało się ich drugie wydanie, *Romek i Wanda: najwspanialsza historia o polityce, wierze i miłości XX wieku*. Misją Sacred Story Institute jest pomoc zarówno osobom prywatnym, jak i wspólnotom wiary w rozwijaniu ich relacji z Bogiem poprzez codzienną modlitwę i medytację (przyp. M.B.).

ści cztery lata później był on ponownie w stolicy Polski, gdzie przedłużył swoją oficjalną delegację służbową z Waszyngtonu, aby być świadkiem pierwszej papieskiej pielgrzymki Jana Pawła II do ojczystego kraju. W 1945 roku młody komunista Spasowski nie płakał nad ruinami Warszawy. Ale 2 czerwca 1979 roku pociekły mu łzy, kiedy usłyszał ostatnie słowa pamiętnego kazania Jana Pawła II, wygłoszonego na Placu Zwycięstwa, które – jak pisał – „niosło echo z jakiejś wielkiej głębi”: „Niech zstąpi Duch Twój! Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi. Tej Ziemi! Amen!”.

Ziemia ta, Polska, została prawdziwie odnowiona poprzez rewolucję sumień, którą Jan Paweł II wznicił w dniach swojej pielgrzymki od 2 do 10 czerwca 1979 roku. Jednym z tych, dla których narodziny Solidarności w 1980 roku stały się chwilą zarówno narodowego odrodzenia, jak i osobistego duchowego przebudzenia, był Romuald Spasowski. Solidarność, po dekadzie walki, osiągnęła polityczne zwycięstwo w częściowo wolnych wyborach w czerwcu 1989 roku, które trzy miesiące później doprowadziły do utworzenia w Polsce niekomunistycznego rządu. Zapoczątkowało to cały łańcuch wydarzeń określanych jako przełom ustrojowy 1989 roku. W grudniu 1981 roku, porzucając karierę dyplomatyczną w proteście przeciwko represjom wobec Solidarności, Romek Spasowski zaryzykował wszystko. Jednakże cztery lata przed politycznym triumfem Solidarności, otrzymał on łaskę duchowego zwycięstwa, kiedy z rąk kardynała Johna Krola przyjął w Filadelfii chrzest święty. W swoich pamiętnikach nazwał to wydarzenie „najwspanialszym dniem w życiu”, a w ostatnim zdaniu wspomnień dodał, że łącząc się z Chrystusem, „czuł, że wreszcie jest razem z umęczonym narodem polskim”.

Nikt nie powinien podawać w wątpliwość siły uczucia, jakie targało duszą Spasowskiego jako prawdziwie nawróconego chrześcijanina, który przez ostatnią dekadę swojego życia pozostał żarliwym katolikiem, umacnianym przez sakramenty, a szczególnie Eucharystię. Tak głęboka pobożność może nam także pomóc wyobrazić sobie jego niezwykle dramatyczne życie w szerszych ramach historycznych. Albowiem poprzez swoje odważne i pryncypialne poparcie Solidarności wobec komunistycznych władców w latach 1980–1981 oraz jeszcze odważniejszą decyzję, aby poświęcić swoją karierę i dobytek w proteście przeciwko represjom, jakie miały miejsce po wprowadzeniu stanu wojennego i próbie zgniecenia Solidarności przez reżim generała Jaruzelskiego, w sensie moralnym Romuald Spasowski stał się pierwszym ambasadorem wolnej Polski w Stanach Zjednoczonych.

George Weigel

GEORGE WEIGEL – amerykański pisarz katolicki, teolog, działacz społeczny i polityczny; profesor w katedrze studiów katolickich w Ethics and Public Policy Center w Waszyngtonie; autor dwutomowej biografii papieża Jana Pawła II: *Świadek nadziei* oraz *Kres i początek*.

CZĘŚĆ I

MŁODOŚĆ I WOJNA

Rozdział I

Opowiadała mi mama, że kiedy leżała w szpitalu im. św. Zofii przy ulicy Żelaznej w Warszawie w oczekiwaniu na moje narodziny, słyszała po nocach odległą kanonadę artyleryjską i niepokoiła się o najbliższe chwile. Po drugiej stronie Wisły toczył się bój o Warszawę, który miał zadecydować o przyszłości Polski. Był sierpień 1920 roku. Ze wschodu ku Wiśle nadciągała szerokim frontem wielotysięczna Armia Czerwona, siejąc panikę i pustosząc polskie ziemie. W zajętych przez Sowieców Białymstoku czekali już komisarze bolszewicy, żeby jako polski rząd ogłosić, iż Polska stała się republiką sowiecką. Śmiertelne niebezpieczeństwo zawisło nad narodem, który dopiero co odzyskał niepodległość po niewoli trwającej od końca XVIII wieku i klęskach narodowych powstań. Kto mógł, spieszył bronić niepodległej ojczyzny. Obok żołnierzy szli cywile i młodzież. Siłą Polaków był przede wszystkim ich niezłomny duch wolności. Mieli też wielkiego wodza, Józefa Piłsudskiego, który całe życie poświęcił walce o niepodległość. Polacy zwyciężyli i zatrzymali Armię Czerwoną, a bitwę o Warszawę nazwano „Cudem nad Wisłą”. Polska pozostała państwem niepodległym, a zwycięstwo to uratowało wówczas Europę.

Kiedy byłem małym chłopcem, pytałem rodziców, dlaczego dali mi na imię Romuald.

– Jak to, dlaczego? – mówiła mama. – Przecież gdy przychodziłeś na świat, obroniliśmy niepodległość. Panował podniosły nastrój. Nawet twój tatuś, który nie poszedł walczyć tak jak inni, cieszył się z niepodległości. Otrzymałeś imię na cześć naszego bohatera narodowego Traugutta, przywódcy powstania z 1863 roku, któremu też na imię było Romuald. Został skazany przez Moskali na śmierć i stracony na stokach Cytadeli Warszawskiej.

Dzieciństwo spędziłem w Warszawie i tam też chodziłem do szkół. Wszelkie dalsze koleje mojego życia były również związane z Warszawą, która stała się moim miastem. Chowałem się jako jedynak. Rodzice poświęcali mi wiele czasu i nigdy nie zostawiali samego. Mieszkaliśmy na trzecim piętrze w starej czynszowej kamienicy przy ulicy Polnej. Dom był czysty i dobrze utrzymany, stał naprzeciwko kreslarni Politechniki Warszawskiej. Pod koniec lat 30. zmieniono nazwę tej części ulicy na Noakowskiego, a budynkowi nadano numer 22. Moje pierwsze wspomnienia łączą się z tym właśnie domem i wypadkami, które miały miejsce w maju 1926 roku, kiedy marszałek Józef Piłsudski sięgnął po władzę.

Pamiętam, jak spacerowałem z ojcem w Alejach Ujazdowskich i podnosiłem błyszczące łuski karabinowe, porozrzucane na ziemi i na drewnianej kostce jezdni. Po drugiej stronie Alej, przy Bagateli, leżały na chodniku duże gilzy od pocisków artyleryjskich, których ojciec nie pozwalał mi dotykać. Była to pozostałość po artylerii polowej, która spod Belwederu strzelała w kierunku Krakowskiego Przedmieścia.

Miałem 7 lat, kiedy ojciec orzekł, że jestem za mało samodzielny i że w domu chowam się na rozpuszczonego jedynaka. Pomimo sprzeciwu mamy zostałem oddany do bursy dla sierot w Spale. Spędziłem tam pół roku i przez cały czas czułem się nieszczęśliwy, często płakałem po nocach. Miałem do rodziców żal, który pozostał we mnie przez wiele lat. Jednak pobyt w sierocińcu zahartował mnie i – jak to sam później przyznałem – do domu wróciłem zmieniony. Nauczyłem się decydować i myśleć o sobie, cenilem jedzenie, przestałem grymasić. Do dzisiaj lubię smak kruchych herbatników, które zawsze dostawałem tam w niedzielę na podwieczorek jako dodatek do szklanki mleka.

Ojciec nie poprzestał na tym i wprowadzał mnie dalej w życie. Wkrótce po powrocie z sierocińca pojechałem z nim na przedmieście Warszawy zwane Powiśle. Mieszkała tam biedota miejska, a domy były ruderami niczym nie przypominającymi naszej kamienicy. Znalazłem się w rodzinie bezrobotnego, która mieszkała w jednym ciemnym i brudnym pomieszczeniu. Wynędzniałe dzieci patrzyły na mnie smutnymi oczami, w których nie było ani odrobiny radości. Obraz ten wywarł na mnie głębokie wrażenie. Po raz pierwszy zobaczyłem, jak wygląda nędza i widoku tego nigdy nie zapomniałem. Do dziś czuję wobec ojca wdzięczność za to, że tak wcześniej pokazał mi prawdę o życiu i sądzę, że to silne przeżycie mogło mieć wpływ na moje późniejsze postępowanie, kiedy ślubowałem sobie, że będę walczył, żeby nie było nędzy i ucisku. Nosilem potem dla tych biednych dzieci na Powiśle paczki żywnościowe, które sam przygotowywałem, i prosiłem rodziców, żeby dawali mi na nie pieniądze.

Zadowolenie ojca z mojego rozwoju zostało jednak zachwiane, kiedy jego uczniowie, absolwenci kursów pedagogicznych, których był dyrektorem, zaczęli udzielać mi w domu lekcji. Miałem duże kłopoty z czytaniem i moje postępy we wszystkich przedmiotach wyglądały mizernie albo źle. Martwiło to ojca, który nie mógł pogodzić się z myślą, że jego syn może okazać się opóźniony w rozwoju. Przypominam sobie jego zaszępioną twarz po rozmowach z nauczycielami. Nigdy jednak na mnie nie krzyczał i nie zdarzyło się, żeby mnie uderzył.

Wychowywałem się wśród dorosłych. Mój jedyny rówieśnik, z którym bardzo się zaprzyjaźniłem, Piotruś Słonimski, bratanek poety Antoniego Słonimskiego, wcześniej opuścił Warszawę. Rodzice zawsze zabierali mnie ze sobą, kiedy szli w odwiedziny do przyjaciół. Zdarzało się to często i pozostawiło niezatarte wspomnienia. Byłem szczupłym i wysokim chłopcem. Zachowywałem się spokojnie, tak jak starsi, w których towarzystwie przebywałem, i lubiłem przysłuchiwać się ich rozmowom. W drodze powrotnej do domu wypytywałem rodziców o wszystko, czego nie rozumiałem, a oni dziwili się, że tak wiele spostrzegam. Liczni spośród odwiedzanych przez nas ludzi odznaczał się dużą indywidualnością i los

chciał, że wielu z nich miało odegrać ważną rolę w moim późniejszym życiu, w latach II wojny światowej. Zachowałem w pamięci tych wspaniałych ludzi, którzy żyli i tworzyli w dwudziestoleciu niepodległej Polski, a których potem zniszczyła wojna.

Niedaleko nas mieszkał wraz z rodziną poeta Kazimierz Przerwa-Tetmajer. To właśnie w jego domu po raz pierwszy słuchałem recytowanych wierszy, siedząc na ogromnej, jak mi się wówczas wydawało, pluszowej kanapie koloru bordo. Tetmajer miał wąsy, tak jak ojciec, i tak samo żywo gestykulował. Tam też zobaczyłem Tadeusza Boya-Żeleńskiego, do którego po latach przyszedłem jako tułacz wojenny w okupowanym przez Sowietów Lwowie. Już po wojnie dotarła do mnie wiadomość, że ten wspaniały poeta, Tetmajer, zmarł w nędzy w jakimś warszawskim przytułku w 1940 roku, a Boy-Żeleński zginął rok później we Lwowie w nieznanych okolicznościach, po tym, jak Niemcy zaatakowali Sowietów. Serdecznym przyjacielem ojca z lat studenckich był Antoni Dobrowolski. Należał on do tych nielicznych na świecie badaczy krain polarnych, którzy już pod koniec XIX stulecia spędzili zimę w lodach Antarktydy. Przyjacielem ojca, również z lat studenckich, był Benedykt Bornstein – filozof idealista, logik i matematyk. Mieszkał w małym, ciemnym mieszkaniu przy ulicy Żurawiej. Bornsteinowie byli żydowskiego pochodzenia, ale nigdy się o tym nie mówiło, bo uważali się za Polaków. Sprawa ich korzeni wypłynęła dopiero z chwilą okupacji niemieckiej. W 1920 roku, kiedy Armia Czerwona zbliżała się do Warszawy, Bornstein kupił za pożyczone pieniądze konia, zameldował się do wojska i w kawalerii odbył całą kampanię w walce z bolszewikami. Równie często odwiedzaliśmy dom na ulicy Lekarskiej, należący do Mariana Falskiego¹, kolejnego przyjaciela ojca z lat studenckich. Falscy byli zamożni, prowadzili otwarty dom i można było u nich spotkać wiele znanych osób.

Moim ojcem chrzestnym był Tytus Benni, którego rodzina wywodziła się z Londynu. Był wyznania kalwińskiego, tak jak mój ojciec. W wieku 11 lat zostałem ochrzczony w kościele kalwińskim w Warszawie i to wyłącznie dlatego, że wymagały tego formalności związane z przyjęciem do szkoły. Ojciec był ateuszem i całe moje wychowanie od początku szło w tym kierunku.

Odwiedzaliśmy też naszą rodzinę. Dobrze pamiętam mieszkanko mojej ciotecznej babki, Emilii Langiert, przy ulicy Hożej, tuż przy Placu Trzech Krzyży. W mieszkaniu tym wszystko łączyło się z polskością i patriotyzmem. Rodzina Langiertów pochodziła z Wileńszczyzny i zapisała się udziałem w powstaniach. Na ścianie wisiał sztandar powstańczy z 1863 roku, a obok, na honorowym miejscu, na ciemnym aksamicie jaśniały dwa orderzy: *Virtuti Militari* i *Krzyż Walecznych*, nadane pośmiertnie córce i synowi ciotki, gdyż oboje oddali życie w walce

¹ Marian Falski (1881–1974) – pedagog i działacz oświatowy, PPS-owiec, rewolucjonista roku 1905, więzień warszawskiej Cytadeli. W II RP urzędnik wysokiego szczebla w Ministerstwie Oświecenia. Autor najpopularniejszego polskiego elementarza, znanego jako *Elementarz Falskiego*.

(Uwaga: wszystkie przypisy dolne w książce pochodzą od autora opracowania).

o niepodległą Polskę. Ich fotografie znajdowały się wśród wielu pamiątek rodzinnych, które zapełniały witrynę i leżały na biurku. Przy tym biurku pracowała córka ciotki Aka, która była pierwszym stenografem w Sejmie. W latach okupacji matka i córka były bardzo zaangażowane w działalność konspiracyjną Armii Krajowej.

Czasami jeździliśmy w niedzielę kolejką wąskotorową do Klarysewa, małej letniej miejscowości, położonej kilkanaście kilometrów od Warszawy. W wili stojącej tam w sosnowym lesie mieszkał Rafał Kornilowicz ze swoją małżonką Eugenią, która była pierwszą żoną mojego ojca. Kornilowiczowie nie mieli dzieci i pani Eugenia darzyła mnie wielką serdecznością. W ich domu było wiele ciekawych rzeczy do oglądania, gdyż pan Rafał kierował onegdaj znaną warszawską firmą „Urania”, produkującą pomoce szkolne. Od niego właśnie dostałem bogatą kolekcję minerałów, co wcześniej rozbudziło we mnie zainteresowania geologią. Tam też rodzice spotykali braci Rafała, a zwłaszcza prałata Władysława Kornilowicza, uwielbianego kaznodzieję i współzałożyciela ośrodka katolickiego w Laskach pod Warszawą. Rodzina Kornilowiczów zapisała się wspaniale w niepodległej Polsce i nie było przypadkiem, że kiedy w 1935 roku zmarł Marszałek Józef Piłsudski, do Belwederu poproszony został jako spowiednik prałat Kornilowicz.

Ojciec nie utrzymywał stosunków z rodziną mamy, która wywodziła się z położonego na Kresach Wołynia. Tam, w dorzeczu rzek Styr i Stochód, znajdowały się ich dobra, zwłaszcza majątki Lityn, Radowicze i Zamlicze. Rodzice mamy, Stefan i Emilia Sumowscy, mieszkali w Litynie. Byli to ludzie głęboko patriotyczni, o tradycyjnych i konserwatywnych zapatrywaniach. Uważali, że ich córkę, Dziunię (jak ją nazywano w domu, choć miała na imię Anna), spotkało wielkie nieszczęście, gdy w 1912 roku, jako dwudziestoletnia panna, poznała w Mentonie na Riwierze Francuskiej Władysława Spasowskiego, mężczyznę żonatego i piętnaście lat starszego, który głosił rewolucyjne poglądy, był ateuszem i na skutek swych przekonań zerwał nawet z własnym domem rodzinnym. Dziunia zakochała się w nim do szaleństwa, o czym świadczyły setki listów miłosnych, które kiedyś przed laty przeglądałem. Nie dziwiłem się mamie, bo ojciec mój był urzekającym człowiekiem, miał piękną głowę i mądre oczy, już wówczas posiadał wielką wiedzę i nie krył, że celem jego życia jest zgłębienie prawdy o życiu i wszechświecie. Takich filozofów rodzina mieszkająca na Wołyniu nie chciała i nie mogła zrozumieć. Dziadek Sumowski tak bardzo nienawidził mojego ojca, że gdy mu kiedyś doniesiono żartem, że Spasowski lada chwila ma przyjechać końmi do majątku, nie chciał z nikim rozmawiać, wziął dubeltówkę i wyszedł na drogę.

Na Wołyń, do Litynia jeździłem więc tylko z mamą, przeważnie raz w roku. Majątek ten otwierał przede mną nieznaną kartę rodzinnej przeszłości. Kiedy byłem tam po raz pierwszy, dziadek już nie żył, a babcia mieszkała w leśniczówce, gdyż dom nie został odbudowany po pożarze z czasów I wojny światowej. Nawet jednak później, gdy w miejscu dawnego dużego dworu powstał mały dworek, w którym zamieszkali mój wuj z rodziną, babcia została w leśniczówce, gdzie

zawsze zatrzymywałem się z mamą. Tam też, wieczorami, przy kolacji i przy lampie naftowej, wiszącej nad dużym dębowym stołem, słuchałem opowieści o ludziach, którzy od stuleci mieszkali na ziemi wołyńskiej, o powstaniach, w których ginęła patriotyczna młodzież, a także kurhanach rozsianych po lesie lityńskim oraz w dziewiczych lasach Wołynia i na stepach Podola. Słuchałem i dostawałem wypieków na twarzy z przejęcia i zaciekawienia. W Litynie zetknąłem się także po raz pierwszy z bogactwem natury nietkniętej ludzką ręką, choć cywilizacja, wówczas jeszcze nie niebezpieczna, trafiła również na polskie Kresy, kiedy wuj zakupił aparat radiowy firmy Telefunken. Na tajemniczej skrzyni, z masą intrygujących mnie gałek do kręcenia, znajdowały się w dwóch rzędach srebrne lampy wielkości żarówek. Z boku, obok skrzyni, stała na stole wielka tuba głośnika, z której, gdy wuj kręcił gałkami, wydobywały się gwizdy i świsty, a potem nagle odzywał się głos ludzki lub wybrzmiewała muzyka. Bardzo mnie to dziwiło i zaglądałem do tuby. Zresztą nie tylko ja. Pewnego wieczoru przyjechał końmi z Łucka starszy pan, dawny znajomy dziadków. Po kolacji wuj Stefan włączył radio i po kilku świstach odezwał się głos. Starszy pan wstał, podszedł do tuby i długo do niej zaglądał, zupełnie tak jak ja. Wuj nie mógł się powstrzymać i wybuchał śmiechem.

– Nikogo tam nie ma, daję słowo – mówił, krztusząc się.

Starszy pan kiwał głową.

– A ty się ze mnie, panie dobrodziejku, nie śmiej, bo tam może i nie ma nikogo, ale są jakieś nieczyste sprawy – odparł i wrócił poirytowany do stołu.

Rodzina ojca wywodziła się z jeszcze dalszych kresów, z dawnej przedrozbiorowej siedemnastowiecznej Polski. Ojciec mój urodził się w 1877 roku w niedużym majątku o nazwie Jakubowszczyzna, położonym niedaleko Witebska, nad rzeką Dźwiną. Nigdy tam nie byłem. Po rewolucji bolszewickiej 1917 roku pozostało po nim tylko wspomnienie. W pamiętnikach ojca czytałem, że był jednym z trzynaściorga dzieci i że matka jego pochodziła z rodziny Schulderów, która to rodzina w XVI wieku przywędrowała do Polski ze Szwajcarii. Życie ojca było burzliwe. Po ukończeniu rosyjskiego gimnazjum klasycznego w Witebsku, wstąpił na uniwersytet w Warszawie, skąd po manifestacjach studenckich został karnie odesłany przez władze carskie z powrotem do Witebska. Uczęszczał później na uniwersytety w Wilnie i we Lwowie, a następnie w Genewie i w Bernie. Tam usamodzielniał się wcześniej i zarabiał nauczaniem. Poznał też licznych rewolucjonistów polskich i rosyjskich, między innymi Gieorgija W. Plechanowa i Feliksa Dzierżyńskiego, z którym mieszkał razem przez kilka dni. W tym czasie studiował z zapałem filozofię, a zwłaszcza Kanta, i uważał się za kantystę. Ostatecznie uznał za swojego mistrza francuskiego filozofa Jeana Marie Guyau. Doktorat z nauk filozoficznych i socjologii otrzymał na uniwersytecie w Bernie. Możliwość nauki i wyjazdów zawdzięczał przypadkowi, gdyż będąc jeszcze w gimnazjum, został postrzelony, kiedy ktoś podawał mu broń na strzelnicy. Kuli nie wydobyto i uznano go za kalekę, co zwalniało od służby wojskowej. Bracia ojca służyli wiele lat w armii carskiej i gdy on przygotowywał się do doktoratu, tkwili w okopach nad Amurem. Nie miał od nich żadnych wieści. Zresztą ojciec

nie lubił wojennych opowiadań. Nigdy ich nie powtarzał. Wojny uważał za barbarzyństwo, a wodzów za przestępców, którzy specjalizują się w zabijaniu ludzi.

Swoją pierwszą pedagogiczną książkę, wydaną już w niepodległej Polsce, w roku 1920, poświęcił Józefowi Piłsudskiemu, w dowód uznania za pracę i walkę na rzecz wskrzeszenia państwa polskiego. Później stał się jego politycznym przeciwnikiem. W 1929 roku został karnie zdymisjonowany ze stanowiska dyrektora uczelni pedagogicznej, kształcącej przyszłych nauczycieli, i przeniesiony na emeryturę za szerzenie ateistycznych i lewicowych poglądów. Po paru latach opublikował duże dzieło pod tytułem *Wyzwolenie człowieka*, w którym jako zdecydowany wyznawca filozofii materialistycznej przedstawił swoje radykalne poglądy na świat, społeczeństwo i wychowanie. Pracę tę jako testament życia poświęcił – jak napisał we wstępie – młodzieży wyższych uczelni, działaczom społecznym, organizatorom oświaty, czyli tym, którzy szczerze i uporczywie szukają rozwiązania wielkich kwestii społecznych, jakimi są edukacja młodych pokoleń i duchowe wyzwolenie człowieka. W dedykacji dla mnie napisał: „Niech to dzieło będzie dla Ciebie, mój synu, bratem kochanym, jak było dla mnie drugim dzieckiem, które rosło i dojrzewało jednocześnie z Tobą”. Miałem wtedy 13 lat. W tym samym roku rodzice rozwiedli się. Stałem się apatyczny i zamknięty. Nie chciałem się uczyć. Mieszkaliśmy w Milanówku pod Warszawą, gdzie mama, za pieniądze otrzymane w spadku po swoim ojcu, kupiła położony w ogrodzie dom o nazwie Willa Róża. Chodziłem do koedukacyjnego gimnazjum im. Królowej Jadwigi. Początkowo uczyłem się bardzo miernie. Szkoły nie lubiłem, raziły mnie tłum i hałas. Testy, które przeprowadzano w szkole, wskazywały na duże rozbieżności uzdolnień. Miałem pamięć znacznie poniżej przeciętnej i dużą wyobraźnię. Dopiero na trzecim roku podciągnąłem się w nauce i od tego czasu byłem już dobrym uczniem. Do gimnazjum uczęszczałem sześć lat. Uczyłem się tam łaciny i niemieckiego. Byłem przewodniczącym szkolnego koła Ligi Morskiej i Kolonialnej – organizacji, która propagowała mocne oparcie się Polski na dostępie do morza jako na niezależnym od sąsiadów „oknie na świat”. Pewnego dnia wizytował nas generał Mariusz Zaruski, ogólnopolski komendant Ligi, któremu na akademii miałem złożyć krótkie sprawozdanie. Nerwy mnie jednak zawiodły, speszyłem się i nie mogłem wydobyć z siebie ani słowa. Dopiero po akademii, w pokoju nauczycielskim, siedząc obok generała, który gładził mnie po głowie, doszedłem do siebie i opowiedziałem o naszej działalności. W ten sposób moje pierwsze publiczne wystąpienie zakończyło się fiaskiem.

Dnia 12 maja 1935 roku zmarł Marszałek Józef Piłsudski. Wiadomość ta dotarła do nas nazajutrz. Prezydent Mościcki wydał orędzie do obywateli Rzeczypospolitej Polskiej i ogłoszona została żałoba. Wszyscy mówili tylko na ten temat, ze smutkiem i z obawą, jakby wydarzenie to zwiastowało przyjście ciężkich czasów. Nie rozumiałem tych obaw. Wiedziałem z lektury szkolnej i z domu, kim był zmarły Marszałek oraz że był darzony wielkim szacunkiem i nazywany Komendantem, Naczelnikiem lub po prostu Dziadkiem. Rano poszliśmy na rynek po gazetę. Kupiliśmy ostatni egzemplarz, a jakiś pan, odchodząc od kiosku bez niczego, ocierał ręką łzy spod oczu. Spojrzawszy na wielkie czarne litery

pierwszej żałobnej strony gazety, mama zasłoniła dłonią oczy i stała w milczeniu. Zapytałem, czy znała Marszałka bliżej.

– Kilka razy byłem zaproszona z tatusem do jego przyjaciela, Walerego Sławka, gdzie on często przychodził. Było to zaraz po wojnie. Kiedy Dziadek wchodził do pokoju – mówiła – wszyscy przerywali rozmowę, a siedzący wstawali. Czułam, że pojawiła się wielka osoba, prawdziwa indywidualność, która samą obecnością oddziaływała na otoczenie. Widzisz Romeczku – dodała – Piłsudski był człowiekiem, który całe życie walczył o wolną Polskę. Zrobił najwięcej ze wszystkich, aby przywrócić wolność tak strasznie umęczonemu narodowi. – Zamyśliła się, po czym rzekła: – Może w ogóle nie byłoby wolnej Polski, gdyby nie on?

Uroczystości pogrzebowe po śmierci Marszałka trwały kilka dni i były relacjonowane przez radio. Słuchałem tych audycji i zdawało mi się, że cała Polska bierze udział w oddawaniu mu hołdu i wyrażaniu wdzięczności. Ostatniego dnia trumna ze zwłokami została złożona w katedrze na Zamku Królewskim na Wawelu w Krakowie. Wtedy po raz pierwszy usłyszałem bicie największego dzwonu w Polsce, noszącego imię Zygmunt. Poprzedniego lata, mieszkając z ojcem w Krakowie, zwiedzałem Zamek Królewski i oglądałem ten ogromny dzwon, odlany z rozkazu króla Zygmunta Starego. Teraz potężny Zygmunt żegnał Marszałka. Po kilku dniach pojechałem do ojca do Warszawy. On również był przejęty śmiercią Piłsudskiego. Powiedział mi, że odszedł bardzo wybitny człowiek, który włożył ogrom myśli i działania w sprawę niepodległości Polski.

– Ceniłem go wysoko do 1920 roku – mówił. – Później nasze drogi się rozeszły. Nie mogę mu wybaczyć ugodowości wobec klas posiadających. Polska Piłsudskiego jest krajem obszarników i kapitalistów. W zeszłym roku zamknął w Berezie Kartuskiej² odważnych ludzi, którzy mówili prawdę. To są faszystowskie metody. Doszło do tego, że w Polsce przyjmuje się takiego Goebbelsa, tubę hitlerowskiej propagandy.

Mówiąc to, ojciec był wyraźnie poirytowany. Drażniły go wszelkie kontakty z Niemcami hitlerowskimi.

– Wszyscy z Sanacji – ciągnął – zachłystują się, jaka to mądra jest nasza polityka zagraniczna, a zwłaszcza tym, że mamy układy o nieagresji ze Związkiem Sowieckim i Niemcami. Jednak pakt o nieagresji to nie są układy o pomocy. Na nich Polska nie może budować przyszłości. Związek Sowiecki właśnie zawarł układ o pomocy z Francją i Czechosłowacją. Takich układów nam potrzeba. Tymczasem Polska jest sama. Nawet sam rząd chyba nie bardzo wierzy w realną wartość naszych umów z Francją. Piłsudski lubił takie kraje jak Rumunia. Absorbował go konflikt z Litwą. Sądzę, że pod koniec życia już czuł, że nie tędy droga,

² Berezka Kartuska – obóz odosobnienia zorganizowany i prowadzony przez władze II Rzeczypospolitej w Berezie Kartuskiej w ówczesnym powiecie prużańskim, istniejący w latach 1934–1939. Powstał głównie w celu izolowania oraz psychicznego i fizycznego dręczenia oponentów politycznych sprawującej wówczas władzę sanacji, m.in. komunistów, endeków, ludowców, a także nacjonalistów ukraińskich. Do obozu osadzeni trafiali na podstawie decyzji administracyjnej, bez możliwości odwołania się. Stałym elementem traktowania więźniów było stosowanie tortur. Część historyków określiła ośrodek jako obóz koncentracyjny.

że źle się dzieje i musiało mu być ciężko odchodzić. Spójrz na Niemcy – tłumaczył ojciec. – Wprowadzili już powszechną służbę wojskową i rozbudowują armię, a trzeba ci wiedzieć, że Niemcy potrafią to robić, bo militarizm niemiecki ma długie tradycje. Sztuka zabijania zawsze stała u nich bardzo wysoko. Mówię ci, synku, ciemne chmury zbierają się nad naszym krajem, faszyzm nie będzie Polski oszczędzał. Hitler zbroi się nie po to, aby straszyć, ale żeby zabijać i grabić, żeby rozszerzać *Lebensraum*³ narodu niemieckiego. Jak tak dalej pójdzie, minie kilka lat i będzie wojna, która wciągać będzie państwo po państwie, aż stanie się wojną światową i znowu miliony ludzi będą ginąć i świat spłynie krwią i łzami. Tym razem nie będzie lżej, ale ciężiej i bardziej okrutnie, bo będzie to wojna totalna, prowadzona przez faszystów w barbarzyński sposób.

Siedząc naprzeciw ojca, starałem się zrozumieć każde jego słowo. Mówił z wielkim przekonaniem, jakby sprawy te były dla niego oczywiste.

– Kapitałiści francuscy, angielscy i inni dają Hitlerowi na zbrojenia, pożyczają faszystom pieniądze, bo chcieliby, żeby zniszczył komunizm i zdusił Związek Sowiecki. Nie obchodzi ich, co Hitler z tym robi i jak to będzie przebiegać. Celem jest zniszczenie komunizmu! Ale przecież, aby tego dokonać, Hitler musiałby najpierw podbić Polskę.

Ojciec zamyślił się, po czym spojrzał na mnie i powiedział:

– Pracuj dużo, synu, i ucz się pilnie, bo nie wiadomo, ile czasu będziesz na to miał, a człowiek musi mieć dobre wykształcenie, żeby nie był ślepy.

Ze wszystkich wypowiedzi ojca wynikało, że ma pełne zaufanie do Związku Sowieckiego i że Polska powinna swoją politykę zagraniczną oprzeć właśnie na tym kraju, aby móc się przeciwstawić Niemcom hitlerowskim. Przyjąłem, że rzeczywiście tak jest. To założenie stało się podstawą mojego patrzenia na świat i miernikiem oceny wydarzeń.

Ojciec regularnie czytał gazety, oprócz polskich często francuskie, a także słuchał radia. Mieliśmy dobry odbiornik, Philipsa, na którym można było „złapać” wiele europejskich stacji. W ciągu dnia słuchaliśmy wiadomości nadawanych przez Warszawę, a w godzinach wieczornych radiostacji francuskich, głównie Paryża. Nigdy natomiast ojciec nie próbował słuchać radia w języku niemieckim, choć znał ten język, a ja uczyłem się go w szkole. Uważał, że szkoda czasu na słuchanie faszystów.

Każdego dnia o 22.00 nastawiał na falach długich Moskwę. Była tam wtedy północ. Najpierw były kremlowskie kuranty, potem zegar na wieży wybijał wolno dwanaście uderzeń i radiostacja Kominternu podawała ostatnie wiadomości dnia. Przyzwyczaiłem się do tych kurantów, które słyszałem prawie co noc. Ojciec słuchał uważnie, czasami notował coś ołówkiem w bloczku papieru, który zawsze leżał obok radia. Przeważnie towarzyszyłem mu w słuchaniu wiadomości, gdyż już od 1935 roku zacząłem rozumieć język rosyjski. Nieznane słowa ojciec

³ *Lebensraum* – dosł. przestrzeń życiowa – niemiecka doktryna, zawierająca rasistowskie, nacjonalistyczne i szowinistyczne koncepcje i oznaczająca tereny, które miały się należeć Niemcom jako narodowi rzekomej rasy panów.

tłumaczył mi na bieżąco. Zasłyszane wiadomości przyjmowałem poważnie i dosłownie. Czasami polemizowałem z ojcem, gdyż niedorzecznymi wydawały mi się długie opisy hodowlanych rekordów kołchoźników i kołchożnic. Zwróciłem również uwagę, że o Stalinie zawsze mówiono w jakiś specjalny sposób i że był cytowany oraz traktowany jako ostateczny autorytet.

Jeden taki wieczór utkwił mi w pamięci. Moskwa nadała przemówienie Stalina, wygłoszone przez niego z dziwnym, charakterystycznym akcentem. Stalin zaatakował osobiście Hitlera i nazwał go „płodem byka i dzikiej świni”. Kiedy wyłączyliśmy radio, spojrzałem na ojca i powiedziałem, że Hitlera z całego serca nienawidzę, ale takimi wyrazami obrzucają się w Milanówku pijacy, natomiast w przemówieniu Stalina są one dla mnie niezrozumiałe. Ojciec nie kwestionował słuszności tej uwagi, próbował tylko wytłumaczyć Stalina odmienną mentalnością „tamtych ludzi”, do których takie właśnie stwierdzenia mogą mocno przemawiać. Nie przyjąłem tego tłumaczenia i miałem wobec Stalina wątpliwości, które w następnych latach stale narastały.

Później przyszły relacje z procesów, w których wszyscy zawsze przyznawali się do popełnienia przestępstw i do czynnego udziału w kontrrewolucji. Na tym tle również dochodziło między nami do dyskusji, które czasami przybierały formę sporów. I tym razem ojciec próbował wyjaśnić zachowanie sądzonych odmienną od naszej psychiką. Twierdził, że „tamci ludzie” mogli nawet przyznawać się do niepopełnionych win, aby nie podważać autorytetu partii komunistycznej i zaufania do komunizmu w ogóle. Tego już zupełnie nie przyjmowałem i ojciec w końcu przyznawał, że takie zachowanie jest sprzeczne z naszą naturą i w ogóle nienormalne. Ciągłe jednak podkreślał, że powinienem pamiętać, iż Związek Sowiecki znajduje się pod ostrzałem intryg i prowokacji świata kapitalistycznego, który nie może pogodzić się z istnieniem pierwszego na świecie państwa robotników i chłopów.

Na początku 1937 roku nastąpiło wydarzenie, które głęboko mną wstrząsnęło. Pewnego zimowego wieczoru przyszło do nas kilkoro uczniów ojca i jak zwykle przy herbacie toczyła się ożywiona rozmowa na temat wydarzeń w kraju i na świecie. Głównym tematem była świeżo uchwalona nowa konstytucja Związku Sowieckiego. Ojciec dowodził, że jest to wielkie osiągnięcie i krok milowy w ugruntowaniu władzy sowieckiej. Kapitalizm został tam zlikwidowany i ustanowiono socjalistyczną własność środków produkcji. Pamiętam, jak z uniesieniem dowodził, że konstytucja ta przyznaje równe prawa wszystkim obywatelom i zapewnia im możliwości oraz swobody, jakich nie zna świat kapitalistyczny.

Słuchałem i wierzyłem w to. Podobnie jak pozostali uczestnicy spotkania byłem pod wrażeniem tego „historycznego” osiągnięcia.

Pod koniec Tadeusz Strzałkowski, o którym wiedziałem, że jest bardzo aktywnym członkiem Partii Komunistycznej, referował sprawy miejscowe i na zakończenie powiedział ściszym głosem, że chciałby podzielić się z profesorem smutną wiadomością, którą otrzymali kanałami partyjnymi.

– Uczennica wasza, profesorze – informował – i znana nam koleżanka Roma Hirsz została w jednym z procesów w Moskwie skazana na karę śmierci za szpiegostwo. Zapewne została już rozstrzelana.

Nie wierzyłem własnym uszom. Przypomniałem sobie Romę. – Ona śpiewem? – pytałem sam siebie. Strzałkowski ciągnął dalej.

– Z tego, co wiemy, wielu ludzi z naszej partii już zginęło. Toczą się procesy innych.

Opuścił głowę, odgarnął ręką bujną czuprynę i zamilkł. Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale głos mu się załamał w gardle i tylko machnął ręką. Długo milczeliśmy.

– Dzieję się, profesorze, rzeczy straszne, po prostu niewytłumaczalne – powiedział w końcu zdławionym głosem. – Mamy też informacje, że ten sam los miał spotkać Uziębło, którego żona również była waszą słuchaczką. Jakoby zginęli obydwój. On, jak wiecie, pojechał tam na wezwanie.

Znowu zaległa cisza.

– Zupełnie tego nie rozumiem – przerwał matematyk Izaak Wajsbrod. – Przecież myśmy tam skierowali wspaniałych, najlepszych ludzi.

– To jest wschód i tak już tam jest – wtrącił Władek Czekalski. – Mam rodzinę na kresach i stamtąd przychodzi dużo takich wiadomości. Zresztą nawet prasa o nich pisze.

Ojciec milczał. Czułem, że boleśnie przeżywa to, co usłyszał i że jest to uderzenie w same podstawy bezgranicznego zaufania, jakim darzył Związek Sowiecki.

Tego wieczora wcześniej poszedłem do swojego pokoju. Nie mogłem zasnąć. Dobrze pamiętałem Romę, która była moją ulubioną nauczycielką, a potem często do nas przychodziła wraz z innymi uczniami ojca. Widziałem zupełnie blisko jej twarz, tak jak przed laty, kiedy ja pisałem niezgrabnie pierwsze litery, a ona siedziała obok, prawie dotykając mnie kruczymi włosami i śledząc koślawe kształty ukazujące się spod mojego ołówka. Kiedy w sąsiednim pokoju zabrzmiały kremłowskie kuranty, nie wstałem i nie poszedłem słuchać. Nakryłem się kołdrą, żeby ich nie słyszeć. Świat stawał się dla mnie coraz bardziej złożony. To, co wczoraj wydawało się oczywiste, dzisiaj okazywało się zagadką.

* * *

W 1937 roku skończyłem gimnazjum w Milanówku i przenieśliśmy się do ojca, żeby kontynuować naukę w Liceum Przyrodniczym w Szkole Handlowej Zgromadzenia Kupców Miasta Stołecznego Warszawy przy ulicy Prostej. Była to szkoła prywatna, chyba największa w stolicy, utrzymywana przez Zrzeszenie Kupców Warszawskich. Znalazłem się w zupełnie nowym otoczeniu, niczym nie przypominającym małe i ciche gimnazjum z Milanówka. Młodzież, która mnie teraz otaczała, stanowiła przekrój tej dzielnicy, zamieszkałej w przeważającej mierze przez ludność żydowską wyznania mojżeszowego. Na czterdziestu paru chłopców w mojej klasie tylko trzech było katolikami, jeden – prawosławny, a jeden, czyli ja, Kalwin. Już pierwsze dni zorientowały mnie, że poziom nauczania był wysoki, zwłaszcza z przedmiotów ścisłych. Raz w tygodniu chodziłem na lekcje religii, które były prowadzone dla młodzieży licealnej na specjalnych

kompletach, na które uczęszczało kilkunastu chłopców wyznania kalwińskiego zebranych z całej Warszawy. Pastor Zaunar, który prowadził te zajęcia, wiedział, tak samo jak Dziubecki w Milanówku, że jestem ateuszem i że mój udział wynika z formalnego wymogu posiadania stopnia z religii. Był tolerancyjny i pozostawił w mojej pamięci jak najlepsze wspomnienia.

W tym okresie nastąpiło dalsze zbliżenie pomiędzy mną a ojcem. Był ze mnie zadowolony. Widział, że nie tylko rozumiem jego nauki i jestem chętny do pogłębiania wiadomości, ale że staję się jego partnerem w rozmyślaniach i ocenach dotyczących aktualnych wydarzeń. Dzielił się ze mną swoimi spostrzeżeniami i chętnie słuchał moich uwag, zawsze wypowiedzianych szczerze, nawet gdy czułem, że nie zgadza się z tym, co mówię i że nie będzie mu miło. Widząc moje zainteresowanie, ojciec przystąpił do intensywnego dokształcania mnie w tych dziedzinach, które uważał za istotne, a w których szkoła nie mogła mi pomóc. Były to wybrane dzieła z literatury polskiej oraz głośne czytanie książek rosyjskich i francuskich w celu poznania zarówno ich treści, jak i nabycia wprawy w językach. Przeważnie sam czytał na głos, a ja słuchałem i notowałem, jeśli czegoś nie rozumiałem. W ten sposób w 1938 roku przeczytaliśmy po francusku życiorysy sławnych ludzi napisane przez Plutarcha, a także, wkrótce po jego ukazaniu się w Związku Sowieckim, *Krótki kurs partii bolszewickiej* po rosyjsku. Książka ta, jak mówił ojciec, miała być napisana według dyrektyw Stalina, a częściowo przez niego samego. Spodobała mi się dzięki swojej jasności i logiczności. Później, przez wiele lat, miała być uznawana w Sowietach za bolszewicką „biblię”. Po śmierci Stalina została wycofana, ponieważ oparta była na fałszerstwach.

W pokoju ojca, który był jednocześnie jego sypialnią i gabinetem pracy, ze wszystkich stron stały pod ścianami książki, których było kilka tysięcy. Cenniejsze, takie jak pierwsze wydania czy starodruki, znajdowały się w oszklonej bibliotece. Byli to, jak mówił, jego najwierniejsi towarzysze. Na obszernym biurku zawsze leżały porozkładane książki i notatki, nad którymi pracował. Z boku, na etażerce, w kartonowych szufladach leżały posegregowane zapiski, zgromadzone tam według określonego systemu, który był ściśle przestrzegany. Na środku biurka stał ciężki szklany kałamarz, w którym w godzinach południowych załamywały się promienie słońca i wówczas pojawiały się na ścianach barwy tęczy. Po obu stronach kałamarza leżały alabastrowe kopie rzeźb Rodina – z jednej strony śmiertelnie ugodzony lew, a z drugiej umierający na swej tarczy gladiator, któremu miecz wypadł już z ręki. Dalej, obok mosiężnej lampy, stał srebrny pękaty kubeczek – jedyna pamiątka ojca z domu rodzinnego na dalekiej Jakubowszczyźnie.

Raz w tygodniu chodziliśmy do teatru lub do kina. Polubiłem teatr. Wtedy właśnie poznałem sporo klasycznych sztuk. Życie teatralne w Warszawie było bogate. Obok kilku dużych teatrów dramatycznych, wiele mniejszych teatrzyków posiadało świetną obsadę aktorską. Po przedstawieniu wracaliśmy do domu piechotą. Nieraz było już po północy i miasto spało, tylko na głównych ulicach gdzieś tam przechadzali się jeszcze przechodnie. Zawsze panował spokój i nikt nie bał się chodzić w nocy.

W tym czasie poglądy ojca uległy dalszej radykalizacji. Uważał siebie za komunistę z przekonania, chociaż ani przedtem, ani potem nie należał do żadnej partii. W 1936 roku ukazała się jego książka o Związku Sowieckim zatytułowana *ZSRR, rozbudowa nowego ustroju*. Była to apoteoza sowieckiego systemu. W tym samym roku władze wycofały tę książkę z obiegu jako zawierającą bolszewicką propagandę, a jej dalsza sprzedaż została zakazana. Zaraz potem rozpoczął pracę nad dwiema kolejnymi książkami zatytułowanymi: *Filozofia samokształcenia* i *Rewolucja socjalistyczna w Polsce*, które wydane zostały w połowie 1939 roku.

Jego rozległa działalność pisarska, połączona z publicystyką w prasie, sprawiła, że pod koniec lat 30. stał się w Polsce czołowym komunistycznym intelektualistą. Odwiedzali go w naszym domu przy ulicy Noakowskiego liczni działacze lewicy, przyjeżdżali do niego z różnych części kraju robotnicy, przychodziła młodzież studencka. Często zjawiali się warszawscy tramwajarze, wśród których silna była organizacja PPS-Lewica. Osoba ojca stała się swego rodzaju instytucją. Broniony i szanowany przez lewicę, był ostro atakowany w prasie prawicowej, a w katolickiej potępiany jako niebezpieczny bezbożnik. Ojciec pomagał w zwalnianiu za kaucją komunistów, którym groziły ciężkie wyroki sądowe, wykorzystując w tym celu swych dawnych uczniów, którzy zajmowali wpływowe stanowiska.

W tym czasie ograniczeniu lub wręcz zerwaniu uległy stosunki z dawnymi przyjaciółmi. Niektórzy odsunęli się sami, bo ojciec stawał się nietolerancyjny i uważał, że nie ma potrzeby wysłuchiwanie poglądów ludzi głupich i ograniczonych. Z niektórymi z przyjaciół dochodziło do ostrych starć. Ojciec głosił, że jedynie Związek Sowiecki może uchronić Polskę i Europę przed hitleryzmem, że tylko komunizm może wyzwolić ludzi z wyzysku i z przesądów, że materializm dialektyczny jest jedyną naukową metodą badania wszelkich zjawisk oraz że prace Lenina stanowią jedynie słuszną ocenę zjawisk współczesnego imperializmu. Były to, jak na ówczesne stosunki w Polsce, poglądy bardzo krańcowe, bardzo śmiałe, wymagające dużej odwagi osobistej.

Władze państwowe musiały przyglądać się jego działalności z coraz większą niechęcią i podejrzliwością. Nasz dom podlegał stałej policyjnej inwigilacji. W bramie prawie zawsze spotykałem kręcących się nieznanych mi ludzi, którzy niby od niechcenia przyglądali się wszystkim wchodzącym.

Stałem całkowicie po stronie ojca. Wierzyłem w to, w co on wierzył, miałem te same ideały, nienawidziłem faszyzmu i tak jak on gardziłem wszystkim, co uważałem za ciemnotę lub wstecznicstwo. Wypadki światowe potwierdzały w moim przekonaniu słuszość przewidywań ojca, który dosłownie pienił się, czytając w prasie na początku 1939 roku o rozmowach polsko-niemieckich, wizycie naszego Ministra Spraw Zagranicznych Józefa Becka w Berlinie oraz Joachima von Ribbentropa w Warszawie. Kiedy dwa miesiące później armia niemiecka bez oporu zajęła Czechy i Morawy, uznał, że jest to wyrok śmierci wydany również na Polskę. Wieczorami nadal słuchał Moskwy, a mi wciąż w uszach dzwoniły kremłowskie kuranty. Stałem przy ojcu i przyrzekałem sobie, że nigdy nie zejść z jego słusznej drogi i nie zawiodę nadziei, jaką we mnie pokładał.

Rozdział II

W połowie września 1938 roku panowała w Warszawie atmosfera podniecenia, którą odczuwaliśmy również w szkole. Wydarzenia ostatnich dni były gorąco dyskutowane, gdyż sytuacja europejska stawiała się coraz bardziej zapalna. Po zajęciu w marcu tego roku Austrii, Niemcy wzmagaly brutalne naciski na Czechosłowację, dokonując prowokacji na granicy i wszczynając awantury w Sudetach. Premier Wielkiej Brytanii, Neville Chamberlain, udał się do Berchtesgaden na rozmowy z Hitlerem. Londyn i Paryż nawoływały Pragę do ustępstw w imię pokoju w Europie. Czechosłowacja znajdowała się w krytycznej sytuacji. W tym właśnie czasie nasz rząd wystąpił z żądaniem przyłączenia do Polski miasta Cieszyn wraz z obszarem, położonego nad Olzą Śląska Cieszyńskiego. W ostatnich dniach września odbyła się konferencja w Monachium, na której Hitler ostatecznie wymusił na premierach Wielkiej Brytanii i Francji odebranie obszaru Sudetów od Czechosłowacji i przyłączenie ich do Trzeciej Rzeszy. Oznaczało to równocześnie oddanie Niemcom fortyfikacji granicznych i pozostawienie reszty tego kraju na łasce Hitlera. I tak 1 października wojska niemieckie wkroczyły w obszar Sudetów. W następnym dniu nasze wojska przekroczyły Olzę i zajęły Cieszyn. Wśród lewicy polskiej panowało oburzenie. Ojciec uważał, że Czechosłowacja została ordynarnie zdradzona i rzucona na pożarcie Hitlerowi. Mówił, że może to zwiastować koniec niepodległości mniejszych państw w Europie. Udział Polski w rozszarpywaniu Czechosłowacji nazywał nikczemnym.

W tym czasie na placu imienia Józefa Piłsudskiego zwołany został wielki wiec młodzieży z różnych organizacji pod hasłem powrotu Cieszyna i Śląska zaolziańskiego do Polski. Wielotysięczny tłum przybył na plac w godzinach wieczornych, kiedy już zaczęło się ściemniać. Kolumny ustawione były według dzielnic miasta i szkół. Stałem w grupie młodzieży z mojej szkoły, pośród zbitej masy młodych ludzi zalegającej plac od strony Ogrodu Saskiego, niedaleko ulicy Wierzbowej, przy której, w pałacu Brühla, mieściło się Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Tłum czekał w napięciu. Kiedy zapadł zmrok, zabłysło tysiące pochodni i orkiestra zagrała hymn narodowy. Zaczęły się przemówienia, przerywane oklaskami i okrzykami. Światła reflektorów ślizgały się po niebie. Atmosfera stawiała się coraz gorętsza. W pewnej chwili tłum zaczął skandować: Za-ol-zie, Za-ol-zie, Za-ol-zie oraz Cie-szyn, Cie-szyn, Cie-szyn. Widowisko było imponujące. Wielki plac oświetlony tysiącami pochodni, morze ludzkich głów, porywająca jedność działania. Nagle

z którejś strony dobiegło mnie skandowanie: Na Cze-cha, Na Cze-cha. Otrząsnąłem się. Przecież to, co słyszę, nie różni się od tego, co głoszą Niemcy hitlerowskie. Patrzyłem na ekstazę zebranych, jakbym się ocknął z letargu. Przypomniałem sobie, co widziałem przed trzema miesiącami w Gdańsku, kiedy ojciec pozwolił mi wziąć udział w wycieczce polskim statkiem po Zatoce Gdańskiej. Gdy statek zbliżył się do portu, ujrzałem młodzież ubraną w brunatne koszule z hitlerowską swastyką na ramionach. Chłopcy ci wykonywali rękami ruch wokół szyi, co miało oznaczać podrzynanie Polakom gardła. Coś przy tym wykrzykiwali i robili miny. Rozejrzałem się dookoła. Skandowanie trwało nadal, uniesienie wielu ludzi wydawało się osiągać punkt szczytowy, a ja poczułem się bardzo obco. Tego wieczora długo rozmawiałem z ojcem i nie mogłem się uspokoić.

W związku z Cieszynek władze zwróciły się do społeczeństwa z apelem, w którym wzywano do poparcia praw Polski do tego miasta. Apel rozesłano do wszystkich szkół i instytucji. Polecono, aby został odczytany na ogólnoszkolnych spotkaniach i aby nauczyciele dali wyraz swemu poparciu poprzez złożenie podpisów. Następnego dnia mieliśmy dwie pierwsze godziny fizyki i jak zwykle zeszliśmy do naszej wspólniejszej auli, przy której mieściły się pracownia fizyczna i gabinet mojego ulubionego wykładowcy Franciszka Zienkowskiego. Siadłem na swoim miejscu i czekałem wraz z innymi na profesora. Tym razem spóźnił się, co mu się dotychczas nigdy nie zdarzało. Wreszcie, po półgodzinnej zwłoce, wszedł swoim szybkim krokiem, wyraźnie poruszony. Stał przed nami i zaczął mówić:

– Chcę, moi drodzy, żebyście wiedzieli, jak postępuje wasz nauczyciel fizyki, co wyjaśni wam również, dlaczego się spóźniłem. Otóż dyrektor Ordyński zwołał dziś rano wszystkich nauczycieli tej szkoły i po odczytaniu znanego wam apelu w sprawie Cieszyna, poprosił o składanie podpisów. Była dyskusja i różne wypowiedzi. Odmówiłem podpisania. Nie wiem, co ze mną będzie, może będę musiał przerwać nauczanie w tej szkole, w której pracuję od dwudziestu pięciu lat. Powiedziałem dyrektorowi Ordyńskiemu i wam chcę powtórzyć to samo, że nie znam się na polityce. Jestem fizykiem i pedagogiem, a nie politykiem. Nie mogę podpisywać czegoś, czego nie znam i nie rozumiem. Każdy człowiek winien, moim zdaniem, odpowiadać za to, co robi. Ja odpowiadam za nauczanie was.

Przerwał, potarł dłonią swe krótko ostrzyżone włosy i stał w milczeniu, jakby ważąc, czy ma jeszcze coś do dodania. Przez dłuższą chwilę panowało milczenie, a potem nagle zerwała się burza oklasków. Profesor uśmiechnął się, jakby chciał niezgrabnie podziękować, i kiwnął ręką.

– A teraz do roboty – rzekł – bo dużo czasu straciliśmy, a przyrządy czekają.

Wybiegnę tu w przyszłość i opowiem krótko dalsze losy profesora, które były dla mnie bolesne, bo darzyliśmy się wzajemną sympatią. W latach okupacji był wykładowcą fizyki w Technicznej Szkole Budowy Maszyn. Pracowałem u niego przez parę miesięcy przy naprawianiu przyrządów. Po wojnie zaoferowano mu katedrę fizyki na Politechnice Warszawskiej, co było szczególnym wyróżnieniem i wyrazem uznania dla tego wspólniejszego fizyka i człowieka. Jednak apele prześladowały Zienkowskiego. W marcu 1950 roku Światowy Kongres Obrońców Pokoju uchwalił w Sztokholmie tak zwany apel sztokholmski, w którym wzy-

wano narody do przeprowadzenia plebiscytu w sprawie zakazu produkcji broni atomowej. W Polsce zmuszano wszystkich do podpisywania tego apelu, a potem władze chwaliły się, że został podpisany przez 18 milionów Polaków na 25 milionów wszystkich obywateli. Profesor Zienkowski odmówił podpisania na tej samej zasadzie, na jakiej zrobił to wcześniej w sprawie Cieszyna. Jednak w 1950 roku siły przymusu były zupełnie inne. Był to okres stalinowskiego terroru, wobec którego dawne naciski Sanacji były dziecinną igraszką. Przeciwno Zienkowskiemu wytoczono oszczerczą kampanię, sfabrykowano zeznania studentów, którzy świadczyli, że jest podżegaczem wojennym i że jako dawny sanacyjny nauczyciel zatruwa stosunki na uczelni. Został zawieszony w czynnościach, a następnie usunięty z Politechniki z zakazem zatrudnienia w jakiegokolwiek innej uczelni. Samotny, zaszczuty i opuszczony, cierpiał biedę i wkrótce zmarł z braku środków do życia.

Jesienią 1938 roku w soboty chodziłem do szkoły w zielonym drellichu, bo jeździliśmy na Bielany, gdzie odbywały się ćwiczenia z przysposobienia wojskowego. Rozdawano karabiny i ćwiczyliśmy parę godzin na rozległych łąkach i w zagajnikach roztaczających się w pobliżu Wisły. Trening był intensywny i miał na celu przygotowanie nas do zimowego obozu w twierdzy w Modlinie. W jedną z sobót zajęcia właśnie dobiegły końca i siedłem w stronę przystanku tramwajowego, kiedy usłyszałem wołanie i zobaczyłem po drugiej stronie drogi jakieś zbiegowisko. Podeszedłem zaciekawiony i ujrzałem kolegę z ławy szkolnej, Tadka Dancygiera, który przewracał się właśnie pod ciosami zadawanymi mu przez jakiegoś dryblasa w mundurze. Napastnik wołał chrapliwym głosem: „Ja Cię nauczę, Ty parszywy Żydzie” i bił Dancygiera, gdzie popadło. Z nosa lała mu się krew, rozmazana na twarzy i dłoniach. Rzuciłem się naprzód i stanąłem naprzeciw bijącego, zasłaniając kolegę. Wtedy go rozpoznałem. Był nim znany mi z korytarzy szkolnych Olecha, barczysty osiłek, starszy ode mnie kilka lat. Ujrzawszy mnie przed sobą, Olecha zawył z wściekłości: „Ty żydowski pacholku, śmiesz bronić tego...” – i tu potoczyły się wulgarne wyzwiska i przekleństwa. Zaczął mnie okładać i po chwili biliśmy się na serio. Wiedziałem, że jestem słabszy, ale liczyłem, że się opamięta. W pewnej chwili zobaczyłem błysk w oczach i upadłem. Leżałem na trawie, twarzą do ziemi, a rozwścieczony Olecha stanął nade mną, splunął na mnie i z całej siły kopnął mnie w plecy. Poczułem przeszywający ból i nie mogłem się ruszyć. Chłopcy chcieli wzywać karetkę, ale się nie zgodziłem. Kiedy wreszcie udało mi się podnieść, żydowscy koledzy wsadzili mnie do tramwaju i odwieźli do domu. Bałem się reakcji ojca, ale na szczęście nie było go, kiedy wróciłem.

Tej zimy prawie miesiąc spędziłem w twierdzy modlińskiej, położonej pod Brześciem, nad rzeką Bug. Oficerowie mówili, że właśnie tam pokażą nam, co to jest prawdziwe wojsko. Było dużo zajęć i ćwiczeń na zaśnieżonych polach i prawie cały dzień biegaliśmy z jednego miejsca na drugie. Od pierwszej chwili padłem sierżantowi kompanii. Złajał mnie już pierwszego dnia, gdy próbowałem odsunąć moją prycę od ogromnego okrągłego pieca, od którego buchał żar. Sierżant zapamiętał moją „samowolę” i wyzywał się na mnie podczas ćwiczeń w polu. Bucioorem wciskał mi twarz w śnieg, krzycząc, że dopiero teraz kryję się

dobrze i że nie trafi mnie nieprzyjacielska kula. Znosiłem to cierpliwie i do głowy mi nie przyszło, że może przyjść chwila, kiedy dokuczliwe pouczenia sierżanta Dymy przydadzą się, a może nawet uratują mi życie. Na apelu w pierwszą niedzielę znów zwróciłem na siebie uwagę, występując z szeregu i odmawiając udania się do kościoła. Zostałem natychmiast skierowany najpierw do sprzątania, a następnie do pracy w kuchni, podczas gdy inni mieli czas wolny. Powtarzało się to w kolejne niedziele. Zaciskałem zęby, ale do kościoła nie chodziłem.

* * *

W pokoju ojca codziennie przed piątą rano zapalało się światło i jeśli nie spałem, słyszałem cichutkie skrzypienie stalówki przesuwającej się po papierze. Nie używał ani maszyny do pisania, ani wiecznych piór, które były już wtedy w modzie. Posługiwał się wyłącznie zwykłym piórem, kałamarzem i ołówkiem. W zimie o siódmej rano sam rozpałał ogień w piecu i dorzucał z kubelka węgiel, a następnie pilnował, żeby w porę zakręcić hermetyczne drzwiczki. Potem jedliśmy razem śniadanie, ja spieszyłem na ósmą do szkoły, a ojciec zabierał się do dalszej pracy.

W latach poprzedzających wojnę nie odwiedzaliśmy już dawnych przyjaciół ojca, z wyjątkiem Mariana i Reginy Falskich. Ludzie, którzy do nas przychodzili, należeli albo do lewicowego skrzydła Polskiej Partii Socjalistycznej (PPS) albo do Partii Komunistycznej. Spośród komunistów wyróżniały się trzy osoby: pisarka Antonina Sokolicz, historyk Stefan Rudniański oraz nauczyciel i zarazem działacz Związku Nauczycielstwa Polskiego Tadeusz Strzałkowski. Byli to ludzie ideowi, reprezentujący wysoki poziom wiedzy i doświadczenia. Rozwiązanie Komunistycznej Partii Polski w drugiej połowie 1938 roku przez mający siedzibę w Moskwie Komitet Wykonawczy Kominternu postawiło ich w krytycznej sytuacji. Każdy z tych ludzi zaważył na swój sposób na naszych dalszych losach.

Ojciec cenił panią Antoninę za jej zdecydowane i konsekwentne przekonania. Jednak już w 1937 roku byłem świadkiem ostrej wymiany zdań pomiędzy nimi w związku z procesami i czystkami w Związku Sowieckim. Na początku tego roku odbył się w Moskwie sąd nad grupą komunistów sowieckich, którzy zostali straceni. Był wśród nich Karl Radek, którego Antonina знаła i bardzo ceniła. Dlatego uważała, że dokonano potwornej zbrodni. Później prasa ciągle donosiła o nowych czystkach, wyrokach, egzekucjach i o terrorze, który obejmował coraz szersze kręgi zupełnie nieoczekiwanych osób. W tych czasach los szeregowych członków Komunistycznej Partii Polski, którzy znaleźli się w Związku Sowieckim, pozostawał nieznan. Po prostu przepadali bez wieści jako – jak to ktoś określił – część kurzu rewolucyjnej historii. Mimo że ojciec i Antonina lubili się nawzajem, mieli do siebie zaufanie i dzielili się poglądami, dochodziło między nimi do wręcz drastycznych kłótni na tle osoby Stalina. Pamiętam, jak Antonina wołała:

– Wybaczcie mi, profesorze, ale wy jesteście ślepi. Nie przyjmujecie faktów, przechodzicie do porządku dziennego nad zbrodniami. Stalin ma krew na rękach.

Wy tego nie widzicie, a co gorsze, nie chcecie tego widzieć, bo chcecie mu nadal wierzyć. A ja wam mówię – krzyczała – że on jest przestępcą!

Wyciągała przed siebie rękę w dramatycznym geście i w uniesieniu pytała:

– Gdzie oni są, ci ludzie, którzy tam od nas pojechali? Co się z nimi stało? Gdzie zaginęli ci ideowi komuniści?

Padaly nazwiska, imiona, pseudonimy, które słyszałem pierwszy raz i których nie mogłem i nie chciałem zapamiętać. Następowały długie chwile milczenia.

– Droga Antonino – odpowiadał wreszcie ojciec – ja nie bronię Stalina, choć jego linia rozbudowy państwa okazała się zbawienna. Twierdzę natomiast, że Sowietci stoją dziś wobec śmiertelnego niebezpieczeństwa. Jeżeli jesteśmy komunistami, to naszym obowiązkiem jest bronić Sowietów, a nie oskarżać. Nie wolno nam nastawiać się wrogo do władzy sowieckiej, do sowieckich komunistów, do wszystkiego, co tam jest. Jutro, droga Antonino, zagrzmia armaty. Właśnie oni staną oko w oko z największym niebezpieczeństwem, jakim jest hitleryzm. Od nich będzie zależało, czy ludzkość zostanie uratowana. Oni zadecydują, jaka będzie przyszłość.

Ojciec wypowiadał słowa o grożącym niebezpieczeństwie niby do siebie, jak gdyby powtarzał coś, o czym dobrze wie i co dotyczy jego samego.

– Na tę śmiertelną walkę komunistów z faszystami – ciągnął – czeka cały kapitalistyczny świat. A dziś ten właśnie świat miota przeciw nim oskarżenia. Mówię wam, Antonino, nie dajmy się w to wciągnąć.

Nieraz opanowywało mnie przygnębienie i było mi przykro, że ojciec tak broni Sowietów, że ma do nich tak bezgraniczne zaufanie. Widziałem na jego twarzy zdenerwowanie oraz to, że sam ma wątpliwości, których nie ujawnia, nawet wobec mnie, więc w duchu obawiałem się, żeby nie doszło do zerwania stosunków także z Antoniną.

Pod koniec 1938 roku wyraziłem wobec ojca życzenie uczestniczenia w spotkaniach młodzieży komunistycznej. Właśnie odwiedził nas Tadeusz Strzałkowski i ojciec zwrócił się do niego w tej sprawie. Po kilku dniach zgłosiła się młoda dziewczyna, która wyjaśniła, że ma polecenie towarzyszy, aby wprowadzić mnie do zaawansowanej grupy szkoleniowej. Ustaliliśmy, że spotkanie grupy odbędzie się u nas i za kilka dni zjawilo się w domu siedem młodych osób. Znana mi już dziewczyna, którą inni nazywali Dora, przedstawiła mnie jako nowego członka grupy, o imieniu Romek. Przyglądałem się przybyłym. Chłopcy, starsi ode mnie, ale znacznie niżsi, mieli krucze włosy – jak oceniałem, byli pochodzenia żydowskiego. Dziewczyny, niskie, wydawały mi się bardzo rozwinięte, wyglądały jak dorosłe kobiety. Gdy tylko zasiedli za stołem, zaczęli palić papierosy. Tego dnia miały być omawiane dwa tematy, jeden polityczny o znaczeniu luksemburgizmu, drugi ekonomiczny o osiągnięciach gospodarczych Związku Sowieckiego na progu trzeciej pięciolatki.

Po krótkim zagajeniu przez Dorę, zaczęła się dyskusja. Byłem zaskoczony ich znajomością prac Róży Luksemburg, wystąpień Karola Liebknechta oraz ocen ich działalności przez Lenina i innych rewolucjonistów. Operowali faktami i pojęciami z wielką łatwością i sprzeczali się w sprawach, których nie rozumiałem.

Poczułem się zawstydzony i postanowiłem nie zabierać głosu. W pokoju zaczęło się robić ciemno od dymu, co pogarszało moje samopoczucie. Chwilami kręciło mi się w głowie. Wręcz denerwowało mnie trzymanie przez nich papierosów w ustach i mówienie przez dym. Postanowiłem, że w drugim temacie zabiorę głos, gdyż właśnie zakończyłem wertowanie książki Stanisława Nowakowskiego na temat osiągnięć dwóch pierwszych *piatilietek*⁴.

Niestety, na drugi temat zostało za mało czasu. Kiedy spotkanie dobiegło końca, Dora spytała, dlaczego milczałem i uśmiechnęła się wyrozumiale.

– Tak, rozumiem, musisz się przyzwyczaić, tak samo, jak Judyta. Pozwól Judyto.

Podeszła do nas wysoka dziewczyna, która, tak jak ja, nie zabierała głosu w dyskusji. Siedziała z boku. Teraz mogłem się jej przyjrzeć. Uderzyło mnie podobieństwo do kogoś, kogo znałem. Zaraz, zaraz, przecież ona jest bardzo podobna do Romy Hirsza, tylko włosy ma kasztanowe, a tamta miała krucze.

– Judyta – powiedziała Dora – została włączona do naszej grupy przed kilkoma dniami. Też jest nieśmiała, ale oswoisz się, prawda? – zwróciła się do niej bezpośrednio, a ta robiła wrażenie zakłopotanej i stała w milczeniu.

– Tak, na pewno tak – odpowiedziała dziewczyna – i dziękuję, że mnie przyjęliście. To bardzo interesujące i ważne. Dotychczas, jak wiesz, cały czas poświęcałam medycynie.

Judyta spojrzała na mnie.

– Dobrze, że nie tylko ja jestem nowa.

– Dobrze Ci to robi, Judyto, jeśli się oderwiesz od domu i pobędziesz trochę z nami – powiedziała Dora. – A teraz chodźmy już.

Kiedy drzwi się za nimi zamknęły, odetchnąłem z ulgą. Poszedłem do ojca, który pracował u siebie w gabinecie.

– No, jak tam było? – spytał z zaciekawieniem.

– Nie podoba mi się – odparłem wprost – to są straszne gaduły, wydaje mi się, że więcej cieszą się z własnych słów niż z tego, o co chodzi. Poza tym naprawdę dużo wiedzą i ciągle palą papierosy. Sam zobacz, nie mogłem wytrzymać w tym dymie.

Ojciec wstał i poszedł do stołowego. Było tam prawie ciemno od dymu.

Pootwieraliśmy okna i wyszliśmy na spacer. Wychodząc z bramy, zobaczyłem chowającą się w sieni jakąś męską sylwetkę. Wziąłem ojca pod ramię.

– Widzisz, znów jest – szepnąłem.

– Gdzie? – zapytał ojciec.

– Tam, schował się w sieni.

– Chyba nie, zdaje ci się.

– Wcale mi się nie zdaje, to jest z całą pewnością inwigilacja – powiedziałem z przekonaniem.

⁴ *Piatilietka* (pol.) pięciolatka – pięcioletni plan rozwoju gospodarki narodowej, nazwa planów gospodarczych ZSRR począwszy od roku 1928.

Następne spotkanie grupy wypadło pod koniec lutego. Tematem miały być osiągnięcia gospodarcze Związku Sowieckiego. Przed spotkaniem przekartkowałem książkę Nowakowskiego i zrobiłem notatki. Znałem osobiście profesora Nowakowskiego, bo przyjaźnił się z ojcem. Kiedy przyjeżdżał z Poznania, przychodził do nas na długie rozmowy, przy których zawsze asystowałem. Pamiętam, że dziwił się, kiedy okazywało się, że prawie wszystko z jego książki znałem na pamięć.

– Dzisiaj – myślałem – pokażę wam, że wiem coś konkretnego o tych sprawach.

Przebieg spotkania szkoleniowego wypadł zgodnie z moimi przewidywaniami. Po zagajeniu przez Dorę, wywiązała się dyskusja, w której początkowo nie brałem udziału. Mówili bardzo powierzchownie. Kiedy wydawało mi się, że temat został wyczerpany, zabrałem głos i systematycznie, od energetyki i nowych hydroelektrowni, poprzez przemysły podstawowe, aż do lekkiego, przedstawiłem zdobycze i stan gospodarki. Na zakończenie mówiłem o obronności, a zwłaszcza o lotnictwie, dając jako przykład sukcesy w krajach polarnych. Mówiłem prawie godzinę i widziałem, że moje wystąpienie było zaskoczeniem. Dziękowali i gratulowali.

– Muszę Ci powiedzieć – rzekła Dora – że twój wykład był bardzo udany. Słyszałam już referaty i wypowiedzi na ten temat, ale to było o wiele lepsze. Może powtórzyłbyś go dla innej grupy albo kilku grup razem?

– Ja to po prostu znam – odparłem – bo ciągle szperam w książkach i w rocznikach i staram się poznać, jakie są siły na świecie. Przecież to będzie decydować, Doro, jeśli przyjdzie to, co najgorsze.

Kiedy wychodziliśmy, w drzwiach stała Judyta.

– Bardzo ciekawie mówiłeś. Skąd ty to wszystko wiesz? – zapytała.

Opowiedziałem jej o profesorze Nowakowskim.

– Masz szczęście, że możesz przebywać z takimi ludźmi, jak twój ojciec albo ten profesor. Chciałabym... – i tu urwała.

Ktoś podszedł i pożegnał się. Wychodziłem zadowolony. Nie mogłem przypuszczać, że już nigdy nie spotkam się z tą grupą.

Chyba w połowie marca 1939 roku po raz ostatni przed wojną towarzyszyłem ojcu w spotkaniu z Antoniną w jej mieszkaniu przy placu Wilsona. Tym razem rozmawiali o rozwiązaniu przez Komintern Komunistycznej Partii Polski. Cała sprawa osnuta była mgłą tajemnicy. Mówiono o ciężkich oskarżeniach wysuwanych pod adresem polskich komunistów, ale nikt nie wiedział dokładnie, o co chodziło i dlaczego została podjęta tak drastyczna decyzja. Antonina była w ponurym nastroju. Przez myśl jej nawet nie przeszło, żeby w takich czasach Komintern mógł nakazać rozwiązanie całej partii.

– Jeśli tak, jak mówicie, profesorze, będzie wojna – zwróciła się do ojca – to katastrofa zastanie nas w rozsypce i wszyscy zginieją. Czuję niepokój, coś się wokół nas dzieje, co wywołuje u mnie dreszcz przerażenia – oznajmiła.

Rozdział III

Zimą 1939 roku szybko wracałem ze szkoły do domu, jadłem z ojcem obiad i zabierałem się do książek. Zbliżał się trudny egzamin maturalny. Przestaliśmy chodzić do teatru i na spacer. Z tym większym zadowoleniem przyjąłem w połowie kwietnia zaproszenie kolegi szkolnego, Prywera, do wzięcia udziału w przygotowywanym przez niego spotkaniu przedmaturalnym. O Prywerze słyszałem sprzeczne opinie: z jednej strony, że jest synem bardzo bogatych rodziców i ma mnóstwo pieniędzy, które traci na przyjemności, z drugiej, że należał do Komunistycznego Związku Młodzieży i jest nadal bardzo aktywny. Obu opiniom nie dawałem wiary. Byłem jednak ciekawy tego spotkania i traktowałem je jako oderwanie się od książek.

Prywer mieszkał przy ulicy Elektoralnej w dużej, luksusowej kamienicy, której klatka schodowa wyłożona była białym marmurem. Wejście do windy błyszczało polerowanym mosiądzem, a ciężkie rzeźbione drzwi do mieszkania na czwartym piętrze również wskazywały na zamożność lokatorów. Kiedy zadzwoniłem, Prywer otworzył, po czym wprowadził mnie do środka. Było tam już kilkanaście osób, które wydawały się starsze ode mnie. Jak wyjaśnił gospodarz, byli to studenci pierwszych lat uniwersytetu lub politechniki, gdyż z gimnazjum zaprosił tylko kilku kolegów.

– Mówiła mi Dora – powiedział z uśmiechem, widząc moje zdziwienie – że należysz do ich grupy, więc uważałem, że będziesz do nas pasował. Tu wszyscy są doświadczeni i można ciekawie porozmawiać.

Przedstawił mnie obecnym, ale rozmowa jakoś nie kleiła się i w końcu znalazłem się sam, spacerując po dużych i bogato umeblowanych pokojach. Z zaskocznością przyglądałem się swobodzie, z jaką chłopcy rozmawiali z dziewczętami, śmiejąc się i żartując. Nie umiałem tak rozmawiać, zawsze wszystko traktowałem poważnie.

Po chwili Prywer otworzył drzwi do pokoju, który dotychczas pozostawał zamknięty, i zaprosił, aby każdy brał talerz i nakładał sobie jedzenie. Oczom nie wierzyłem, tak pięknie nakryty był stół. Dostrzegłem na nim wiele drogich artykułów, jak kawior czy łosoś, które dotychczas widywałem tylko na wystawach sklepów Braci Pakulskich⁵. U nas w domu, zarówno u ojca, jak i u mamy, jedzenia było dosyć i nikt głodny nie chodził, ale było to jedzenie proste i skromne.

⁵ Bracia Pakulscy (właśc. Skład Win i Towarów Kolonialnych „Bracia Pakulscy”) – przedsiębiorstwo handlowe działające w Warszawie i Otwocku w latach 1857–1950, które specjalizowało się w handlu winem i towarami kolonialnymi.

Młodzież skorzystała z okazji i rzuciła się do opróżniania półmisek. Stół powoli pustoszał, a ja, stojąc z boku, myślałem o Prywerze. Czy można być komunistą i tak sobie dogadzać, kupować drogie produkty, wydawać masę pieniędzy, podczas gdy tyle jest biedy, nie mówiąc o partii czy Komunistycznym Związku Młodzieży, które też potrzebują środków? Wprawdzie partia została rozwiązana, ale – jak mówił Strzałkowski – wielu towarzyszy żyje w bardzo ciężkich warunkach. Idąc codziennie do szkoły, mijałem biednych, którzy dziękowali za każdy grosz, a wracając do domu inną drogą, przechodziłem ulicami, gdzie mieszkała biedota żydowska. Widziałem wielodzietne rodziny gnieźdzące się w suterrenach, w małych niby to sklepach, w których ojciec uprawiał jakieś rzemiosło, przeważnie szewstwo lub krawiectwo. Dzieci były tam wątłe i miały twarzyczki blade, jakby nigdy nie oglądały słońca.

Przypominałem sobie, że ktoś mi mówił, iż ojciec Prywera ma kopalnię na Śląsku. Ale czy tak postępuje komunista? A może on tylko gra, bo sprawia mu przyjemność udawanie komunisty, albo to, że inni widzą, jaki jest bogaty?

Rozmyślając, byłem jak wyłączony z otaczającego mnie świata, kiedy nagle ktoś pociągnął mnie za ramię. Spojrzałem. Obok stała Judyta. Podaliśmy sobie ręce.

– Tak się cieszę, że cię tu zastałam – powiedziała na powitanie. – Bardzo się spieszyłam, a mimo to jestem spóźniona. Mieliśmy dzisiaj dłużej zajęcia.

Patrzyłem na nią i nie wierzyłem, że to jest ta sama dziewczyna z naszej grupy. Jej kasztanowe włosy spięte były na głowie i spadały rozpuszczone na ramiona i plecy.

– Byłbym cię nie poznał, Judyto, taka jesteś zmieniona.

– Naprawdę? Może dlatego, że nie mam dziś warkoczy?

– Tak, na pewno, ale nie tylko. Dzisiaj w ogóle jakoś inaczej i pięknie wyglądasz.

– Podobam Ci się?

– Tak – przyznałem i spuściłem oczy.

– No to się bardzo z tego cieszę, bo prawdę mówiąc, chciałam tu przyjść, żeby cię spotkać.

Judyta patrzyła na mnie swoimi dużymi oczami, jakby chcąc sprawdzić, czy mówię to, co myślę. Wyczuła, że jestem onieśmielony, rozejrzała się i po chwili przyniosła z sąsiedniego pokoju talerz z owocami.

– Na pewno nic nie jadłeś – powiedziała.

Skinąłem na potwierdzenie. Staliśmy obok siebie, jedząc owoce, a Judyta opowiadała o podenerwowaniu, jakie panuje wśród studentów medycyny w związku z groźbą wojny. – Ona też, tak jak ja, nie umie żartować i opowiadać głupstw – pomyślałem, i wtedy zapytała:

zowało się w handlu importowanymi artykułami spożywczymi i alkoholem (posiadało m.in. wyłączność na import win i kawioru z ZSRR). Przed wybuchem II wojny światowej posiadali w Warszawie kilka sklepów oferujących artykuły lepszej jakości.

– Jak sądzisz, co z nami będzie? Przecież wygląda to coraz gorzej. Masz mądrego ojca, chyba wiesz więcej.

Nie czekając na odpowiedź, mówiła dalej:

– Do znajomych przyjechał ktoś z Berlina i opowiadał straszne rzeczy o tym, co się tam dzieje. Kilka miesięcy temu dosłownie mordowali Żydów na ulicach. Prześladowania trwają cały czas. A jak oni przyjdą do Polski, co stanie się z nami? Z tobą mogę o tym rozmawiać... Ty mnie zrozumiesz. Inni mówią, że boję się, bo jestem Żydówką.

Zamyśliła się na chwilę.

– Pytam wszystkich i nikt nie umie odpowiedzieć; albo wzruszają ramionami, albo mówią, że nie będzie tak źle, bo Polska to duży kraj i dużo Żydów. Powiedz, co czujesz?

Czekała i patrzyła pytająco w moje oczy. Nie odzywałem się przez dłuższą chwilę. Zbierałem myśli, ale jej wzrok onieśmiał mnie. Wydawało mi się, że nigdy wcześniej nie patrzyły na mnie w ten sposób oczy dziewczyny, tak duże i piękne, w których były ciepło i smutek zarazem. Może powinienem powiedzieć, że nie będzie tak źle, pocieszyć ją, że damy radę, ale musiałbym kłamać, bo czułem coś wręcz odwrotnego.

– Będzie źle, bardzo źle – oznajmiłem – nie dadzą nam spokoju. Hitler zajął Czechy, Morawy, ale jest nienasycony. Dziś domaga się Gdańska. Mussolini wkroczył do Albanii. Wygląda na to, że teraz kolej na Polskę. Popatrz, Judyto, co oni zrobili w Hiszpanii. Już przed dwoma miesiącami zajęli Barcelonę i zdławili siły antyfaszystowskie.

Wymieniałem rzeki i miasta, wskazując, które z nich zniszczyli Włosi, a które zbombardowali lotnicy niemieckiego Condora. Pamiętałem przebieg tej wojny, gdyż przez cały czas śledziłem przesuwanie się frontu na dokładnej mapie fizycznej Półwyspu Iberyjskiego. Judyta słuchała i nie spuszczała ze mnie wzroku. Kiedy skończyłem, spojrzała pytająco.

– Jak ty to wszystko możesz spamiętać? – powiedziała.

– Wiesz, dlaczego pamiętam? – odparłem. – Bo wojna w Hiszpanii stanowi przygrzywkę, taki wstęp do wojny w całej Europie – zacytowałem zdanie, które często słyszałem od ojca.

Moje słowa musiały przygnębić Judytę. Patrzyła wprost przed siebie, w ciemne okno, bo na zewnątrz zapadała już noc. Była poważna, jakby zastygła, wydała mi się blada i bardzo piękna. Nie była to teraz młoda dziewczyna, lecz dorosła kobieta. Nie spuszczałem z niej wzroku i cieszyłem się jej widokiem. Najwyraźniej poczuła moje spojrzenie, bo podniosła głowę i spojrzeliśmy sobie w oczy. O dziwo, tym razem nie spuściłem wzroku, coś mi nakazywało patrzeć w jej oczy najgłębiej, jak mogłem. Nie czułem żadnego onieśmienia, nie byłem zawstydzony. Trwaliśmy tak w milczeniu i żadne z nas nie odrywało wzroku. Sam się sobie dziwiłem. Zdawało mi się, że czytam w jej oczach podziękowanie za mówienie tego, co myślę, ale także wyrzut, że słyszy to właśnie ode mnie.

Znów rozległa się muzyka. Judyta szepnęła, nie odrywając ode mnie wzroku.

– Zatańczysz ze mną?

– Nie umiem tańczyć – odparłem.
– Jak to nie umiesz? Nie wierzę – spojrzała zdziwiona, chyba myśląc, że się drażnię.

– Naprawdę nie umiem, nigdy nie tańczyłem. Tacy, jak ja... – przerwałem, szukając słów – ...nie powinni w tych czasach tańczyć. Nie ma na to miejsca w moim życiu.

Judyta była wyraźnie zmieszana. Po chwili rzekła:

– Nie mogę w to uwierzyć... Przecież spotykałeś się z dziewczynami na zabawach i nie tańczyłeś?

– Nie, nigdy się nie spotykałem. To jest moje pierwsze spotkanie. Ty jesteś... – nie dokończyłem.

– W takim razie proszę, abyś spełnił moją prośbę – powiedziała i wzięła mnie za rękę.

Zaczęliśmy niby tańczyć. Powłóczyłem niezgrabnie nogami i wydawało mi się, że muszę śmiesznie wyglądać. Na szczęście płyta wkrótce się skończyła i przeszliśmy do drugiego pokoju. Spojrzałem na zegarek, dochodziła 22.00.

– Na mnie już czas – powiedziałem.

Judyta wzięła mnie ponownie za rękę i poczułem delikatne drżenie jej dłoni.

– Wiesz co, powiem ci prawdę – przysunęła się tak, że staliśmy tuż przy sobie, podniosła głowę i patrzyła mi w oczy. – Bardzo cię cenię i choć znamy się tak mało, bardzo lubię. Chyba mogłabym cię pokochać, ale coś mi mówi, że los nas rozłączy. Naprawdę musisz już iść?

Byłem oszołomiony i zarazem szczęśliwy.

– Dziękuję ci, Judyto. Czuję to samo, co ty, tylko ja nie umiem o tym mówić i bałem się, że możesz źle mnie zrozumieć.

Spojrzała z wyrzutem.

– Odprowadź mnie do domu, przejdziemy się i będziemy jeszcze chwilę razem, dobrze?

Podałem jej palto, starą, wysłużoną już jesionkę. Owiązała szyję szalikiem i założyła beret.

– Chodźmy – zakomunikowała, i szybko zbiegliśmy po schodach.

Na zewnątrz było zimno i kropił drobny deszczyk. Ludzi było mało.

– Gdzie mieszkasz? – spytałem.

– Na Gęsiej, dosyć daleko stąd. Może nie chcesz iść, bo deszcz?

– Ależ skąd, chodźmy. Lubię spacerować po Warszawie, z ojcem zawsze chodzę wieczorami na długie spacery. Ty na pewno znasz lepiej te ulice, więc prowadź...

– Romku – przerwała mi – zrób mi przyjemność i... weź mnie pod rękę.

Czułem, jak swoim ramieniem przycisnęła moją rękę do siebie.

Szliśmy noga w nogę, bo Judyta była wysoką dziewczyną i z łatwością dotrzymywała mi kroku. Milczeliśmy obydwoje. Z Elektoralnej skręciliśmy w Orlą.

– O czym myślisz? – zapytałem.

– Wiesz o czym. O tym, że życie nas rozłączy, bo jak się sprawdzi to, co mówisz...

– Dużo zależy od nas.

– Tak myślisz? A jak oni przyjdą?

– To też w dużym stopniu będzie od nas zależało.

Judyta podniosła głowę i spojrzała mi w oczy.

– Myślisz, że cokolwiek będzie zależało od nas?

– Nie wiem – powiedziałem cicho – ale kiedy człowiek bardzo czegoś chce, to może dużo zdziałać, bardzo dużo...

Szliśmy przez długą chwilę w milczeniu. Na Lesznie wysokie latarnie oświetlały szeroką ulicę. Gdzieniedzie snuli się spóźnieni przechodnie.

– Bardzo mało o sobie wiemy – oświadczyła – to znaczy ja wiem o Tobie znacznie więcej... Że jesteś synem znanego profesora Spasowskiego, wiem, gdzie mieszkasz, a nawet byłam u ciebie w domu. Wiem, że jesteś komunistą, że nie jesteś antysemitą, wręcz odwrotnie, bronisiz Żydów. Wiem też, że nie tańczysz i że nie spotykałeś się z dziewczynami. Całkiem dużo już o tobie wiem.

– Ale ja o tobie wiem bardzo mało. Tylko to, że jesteś bardzo ładna i często jesteś smutna.

Judyta roześmiała się.

– To prawda, że jestem smutna. Jestem Żydówką. Moi rodzice byli biednymi Żydami. Obydwoje już nie żyją. Ojciec zmarł rok temu. Był krawcem, całe życie kroił i szył ubrania. Jak sięgam pamięcią, widzę go nachylonego nad maszyną do szycia, zawsze w jarmulce, bo był bardzo religijny. Tylko w soboty wychodził i szedł do bożnicy. Cały czas spędzał w domu, to znaczy w suterenie, gdzie mieszkaliśmy. Mama mu pomagała, ale zmarła wcześniej, kiedy miałam 12 lat. Nie miałam rodzeństwa, mama chyba nie mogła mieć więcej dzieci. Mieszkalam sama z ojcem i opiekowałam się nim tak, jak by to robiła mama. Od lat szkolnych chciałam być lekarzem. Uczyłam się dobrze, nawet bardzo dobrze. Mogłam chodzić do szkoły, bo zwalniano ojca z płacenia. Inaczej nie byłoby nas stać. Zdałam dobrze maturę i w zeszłym roku zostałam przyjęta na medycynę. Jestem na drugim roku, dużo pracuję i będę lekarzem. Po śmierci ojca – ciągnęła – musiałam oddać te dwa pokoje w suterenie, ale właściciel kamienicy, który zna naszą rodzinę od trzydziestu lat, wynajął mi bardzo tanio osobny pokój na trzecim piętrze. Mieszkam tam z kuzynką, nieco starszą ode mnie, która jest szwaczką.

Przerwała na chwilę.

– Teraz, Romku, wiesz już o mnie prawie wszystko. Och, jeszcze jedno: rodzice zawsze mieszkali w Warszawie, tutaj się urodzili. Rodziny nie mam, tylko ta kuzynka i jej dalsza rodzina.

Dochodziliśmy właśnie do Nowolipek. Deszcz nie przestawał mżyć.

– Na pewno przemokłaś – zauważyłem.

– Nie, a nawet gdyby trochę, to nie szkodzi. Jak teraz idziemy?

– Ja się nie spieszę – powiedziałem.

– Mówiłeś, że ojciec czeka.

– Tak, czeka, ale on to zrozumie.

– Co zrozumie? Może będzie zrędzić?

– Zrozumie, że byłem z dziewczyną, która mi się podoba, z którą chciałem być dłużej.

– Dziękuję – szepnęła i przycisnęła moją rękę ramieniem.

Skręciliśmy w prawo w Nowolipki. Tam było więcej ludzi na ulicy.

– Widzisz – odezwała się – tędy dojdziemy do Nalewek, a tam dalej odchodzi Gęsia i niedaleko jest mój dom.

– Kiedy spotkamy się następnym razem? – zapytałem.

Zatrzymała się, a w jej oczach błysnął uśmiech.

– Chcesz tego?

– Chcę, bardzo chcę. Ustalmy, kiedy. Około 20 maja zdaję maturę. Muszę dużo pracować.

– U mnie też będą teraz ćwiczenia i egzaminy. Może więc zaraz po twojej maturze, pod koniec maja.

– Dobrze, tylko nie w czerwcu, bo jadę na obóz pracy.

– I nie w lipcu i sierpniu, bo ja mam wyjechać z grupą studentów na obóz do Poronina... A może tam nie jechać?

– Dlaczego? Trzeba jechać, żeby wypocząć. To potrzebne dla zdrowia.

– Tak uważasz? A jak coś się stanie, wiesz... najgorszego?

– Jak będzie się na to zanosilo, to pewnie, że lepiej wrócić wcześniej do Warszawy.

– To znaczy, że przyjedziesz do mnie pod koniec maja?

– Tak, powiedzmy 25 maja, o 16.00.

– Zgoda.

Na Nalewkach było gwarniej. Mieszkali tu prawie sami Żydzi. Nalewki i Gęsia uchodziły za najbardziej żydowskie ulice w Warszawie. Polski, żydowski i hebrajski mieszały się tu na każdym kroku. W suterrenach świeciło się światło, świadczące, że tam nisko też jest życie. Judyta wskazała na jedno z zejść w dół i powiedziała:

– Myśmy tak właśnie mieszkali. Pokażę ci w naszym domu. Teraz mieszka tam rodzina z czworgiem czy pięciorgiem dzieci.

Skręciliśmy w lewo, w Gęsią i po chwili Judyta zatrzymała się.

– To tutaj. Ta brama. A tu mieszkalam z rodzicami.

Podeszliśmy do wąskich schodów w dół.

– Ile lat tu mieszkałaś? – spytałem.

– Prawie całe życie, dwadzieścia – usłyszałem w odpowiedzi.

Pomyślałem sobie o naszym mieszkaniu z balkonem na trzecim piętrze na Noakowskiego, o Willi Róża i moim laboratorium w Milanówku, i o Litynie. Stałem w milczeniu. Odruchowo wziąłem Judytę za rękę.

– Bardzo ci jestem wdzięczny, że mogłem cię poznać.

– A nie razi Cię moje pochodzenie... Z takich biednych, najbiedniejszych Żydów?

– Przecież wiesz, że największy szacunek mam do ludzi biednych i wyzyskiwanych, że jestem wrogiem bogatych i wyzyskiwaczy.

– Wiem i dlatego, że taki jesteś, mogę być z Tobą zupełnie szczerą. Jesteś mi bliski.

Staliśmy obok siebie. Czułem, że nadchodzi chwila pożegnania i myślałem, jak przedłużyć czas spędzony z nią. Judyta chyba to wyczuła.

– Chciałabym – powiedziała – żebyś zobaczył moje drzwi, bo na korytarzu jest ich kilka.

Klatka schodowa była ciemna, na każdym piętrze oświeślał ją tylko błądny blask padający z korytarza. Drewniane schody były zniszczone i miejscami mocno wytarte, ściany wydawały się brudne, a w kątach walały się jakieś drewniane sprzęty.

– Widzisz, jak tu ciemno i biednie – szepnęła Judyta. Nie tak, jak u Prywera. Nie razi Cię to?

– Nie obchodzi mnie to – odparłem zdecydowanym głosem, czując się nawet urażony, że posadza mnie o coś podobnego.

Na trzecim piętrze weszliśmy w długi, wąski korytarz, oświetlony zwisającą z sufitu na drucie słabą żarówką. Judyta wskazała na drzwi.

– To tutaj – powiedziała – numer siódmy. Zapamiętasz?

Podeszła do drzwi i zapukała. Odpowiedział jej po żydowsku jakiś kobiecy głos. Coś do siebie powiedziała i po chwili drzwi otworzyły się, rzucając smugę światła.

– Proszę wejść, Romku. Zobacz, jak mieszkamy. Ona jeszcze nie śpi.

– Nie chcę nikogo krępować.

– Wejść – poprosiła – ja się nie wstydzę tego, jak żyję.

Wszedłem do środka. W małym pokoiku stały pod ścianami dwa żelazne łóżka, między nimi pod oknem był stół, a z boku półka z książkami. Obok maszyna do szycia, dwa krzesła i mała szafka. Było ciasno. Judyta tłumaczyła coś po żydowsku, a jej kuzynka wydawała się zaskoczona moim przyjściem.

– Przepraszam, Judyto, ale muszę już iść. Dziękuję, że tyle mi o sobie opowiedziałas i że mogłem tutaj przyjść.

Judyta skinęła i odprowadziła mnie na korytarz. Podaliśmy sobie ręce. Patrzyła mi w oczy.

– Powiedz prawdę, czy nie razi cię taka biedna Żydówka?

Milczałem. Staliśmy naprzeciw siebie.

– Czy mogę cię pocałować? – spytałem.

Zbliżyła się. Drżałem, czując jej dłonie w swoich rękach. Zastygliśmy i w tej właśnie chwili otworzyły się na oścież drzwi naprzeciwko, oświetlając nas rażącym światłem żarówki zawieszanej tuż za nimi. W drzwiach pojawili się ludzie, którzy wychodzili na korytarz. Pocałowałem Judytę w czoło i podaliśmy sobie jeszcze raz ręce.

– Do zobaczenia, Judyto. Pamiętaj, 25 maja, 16.00 – wołałem już ze schodów.

– Do zobaczenia, Romku. Uważaj na siebie.

Słyszałem głos Judyty stojącej na korytarzu i czułem, że patrzy, jak się oddalam.

Deszcz nie przestawał mżyć. Wskoczyłem do tramwaju, myśląc o niej cały czas. Imponowała mi. Dzielna dziewczyna. To, że myślała, że jej ubóstwo mnie

do niej zniechęci, było nawet upokarzające, bo oznaczało, że przykladała do mnie miarkę, jaką stosuje się w świecie kapitalistycznym. Ale skąd ona może wiedzieć, jak mocne są moje przekonania, jaki jestem twardy. No i nie wie o mnie jeszcze jednego – że jestem z rodziny właścicieli ziemskich...

Ojciec otworzył mi drzwi, zaniepokojony.

– Dlaczego tak późno wracasz? – zapytał. – Cały jesteś mokry.

– Przepraszam, wiesz, że byłem u tego Prywera na Elektoralnej. Spotkanie trwało do 22.00, a potem odprowadziłem jedną dziewczynę do domu. Mieszka daleko.

Spojrzał zdziwiony.

– Nic mi dotąd o żadnej dziewczynie nie mówiłeś.

– Bo żadnej nie było.

– Co o niej wiesz?

– Chyba wszystko, była u nas wraz z innymi. Ty ich nie widziałeś, ale i tak na pewno nie zwróciłbyś uwagi.

Przebrałem się, ojciec nastawił wodę na herbatę i usiedliśmy za stołem. Opowiedziałem mu wszystko o Judycie. Gdy skończyłem, powiedział:

– Cieszę się, że poznałeś dziewczynę, jak sądzę, wartościową i taką, która ci się podoba. Martwiłem się już, że w ogóle nie zwracasz uwagi na kobiety. Ja w twoim wieku kochałem się już parę razy w różnych pannach i bardzo lubiłem tańczyć. Uważaj tylko na jedno, wobec drugiego człowieka trzeba postępować uczciwie i nie wolno go skrzywdzić. Reszta zależy od ciebie.

* * *

Maturę zdałem bez problemów. Był to trudny pisemny i ustny egzamin, wymagający wysiłku pamięciowego. Po egzaminach podszedł do mnie wykładowca chemii, Humnicki, starszy już i bardzo elegancki wysoki mężczyzna, postrach uczniów, gdyż dużo wymagał. Objął mnie ramieniem i powiedział:

– Zdziwiłeś się zapewne, gdy przed całą komisją zapytałem cię, z czego chciałbyś odpowiadać, a potem dokładnie cię z tego przemaglowałem. Wiesz, dlaczego tak zrobiłem?

– Nie wiem – odparłem zaskoczony.

– Jak nie wiesz, to posłuchaj. Bardzo dawno temu, gdy byłem młodym człowiekiem, kochałem się w pięknej pannie. Nazywała się Eugenia Ogińska i pochodziła z arystokratycznej rodziny. Wyszła jednak za mąż za innego, z którym potem się rozwiodła. Ja wtedy byłem już żonaty i w ten sposób moje życie inaczej się ułożyło. Jesteś synem Spasowskiego, którego wybrała. Wolała twój ojca ode mnie. Szczerze go nie lubiłem. Dałem ci więc szansę, zanim cię gruntownie przemaglowałem. Wszystko umiałeś. Życzę ci jak najlepiej.

Objął mnie ponownie i uściskaliśmy się.

Dnia 25 maja z niecierpliwością jechałem tramwajem do Judyty. Punktualnie o 16.00 byłem na Gęsiej, przed jej domem. Wbiegłem zdyszany na trzecie piętro

i zapukałem do drzwi. Usłyszałem kobiece kroki, skrzypnął zamek i w drzwiach ukazała się jej kuzynka.

– Dzień dobry, pamięta mnie pani? Przyszedłem do Judyty. Czy ją zastałem? – mówiłem, rozglądając się.

– Musiała wyjechać. Zostawiła list.

Kobieta podała mi kopertę. Rozerwałem ją i szybko przebiegałem wzrokiem strony. Judyta przepraszała, że musiała wyjechać wraz ze wszystkimi koleżankami z medycyny na dwutygodniowy kurs pielęgniarski w związku z przygotowaniami do wojny. Zapewniała, że ciągle o mnie myśli i że nie może doczekać się spotkania.

– Przecież ja za dziesięć dni jadę na obóz – pomyślałem. – Znów się miniemy.

– Może napije się pan herbaty? – zapytała kobieta. – Widzi pan, Judyta to taka porządna i dobra dziewczyna, a jaka zdolna. Musiała pojechać. Wie pan przecież, że ona jest Żydówką. Gdyby nie pojechała, źle by o niej myśleli.

Przebiegłem oczami list do końca. Judyta zapewniała o swoim uczuciu. List kończył się słowami: „Mam zaufanie do Ciebie i do tego, co mówisz. Na pewno niedługo się zobaczymy. Tak bardzo chcę znowu iść razem z Tobą. Wiesz, jak Cię lubię! Judyta”.

– Czy ma pani papier?

Skinęła głową.

– To poproszę, napiszę do niej kilka słów.

Uprzedziłem, że kiedy ona wróci, mnie już nie będzie w Warszawie, bo będę na obozie. Przyjadę, jak tylko będę mógł, ale niech jedzie w góry, nabrać sił. Zapewniałem, że będę stale o niej myślał i nie zapomnę. Oddając list, poprosiłem kuzynkę, aby serdecznie pozdrowiła ode mnie Judytę.

Wracałem smutny, pocieszając się myślą, że jeszcze się spotkamy, przecież jesteśmy młodzi. Tylko ta wojna...

* * *

Po kilku dniach otrzymałem wezwanie do odbycia służby pracy. Dziesiątego czerwca zgłosiłem się na Dworcu Głównym, skąd z setkami innych poborowych pojechałem specjalnym pociągiem w kierunku Poznania. Miałem ze sobą prawie pusty podniszczony plecak, mocno wysłużony w Tatrach. Pełne umundurowanie mieliśmy otrzymać na miejscu. Koła stukały miarowo, a moje myśli plątały się bezładnie. Zasnąłem...

Obudziło mnie zatrzymanie się pociągu na stacji. To była Września. – Wysiąść! – rozległy się głosy. – Przesiadka! Przeszliśmy do innego pociągu, który dowiózł nas do miasteczka Pyzdry nad rzeką Wartą. Na rozległych polach niedaleko miasta znajdował się obóz, w którym w namiotach wojskowych zgromadzonych zostało ponad tysiąc poborowych. Przydzielono mnie do trzynastej kompanii czwartego batalionu.

Wstawaliśmy o wschodzie słońca i prawie cały dzień budowaliśmy nad Wartą wały ochronne z ziemi i kamieni. W słoneczne i upalne dni praca była wyczerpująca, a taczki z ziemią ciężkie. Wkrótce bąble na dłoniach zamieniły się w krwawe strupy z wrośniętym w nie piaskiem. Niektórzy nie mogli wytrzymać tak intensywnej pracy, inni dostawali udaru słonecznego i zabierały ich karetki pogotowia. Praca w zasadzie kończyła się o 16.00, ale zaraz potem rozpoczynały się ćwiczenia wojskowe z łopatami zamiast karabinów.

W niedzielę kompanie szły razem do kościoła. Podobnie jak w Modlinie, wystąpiłem na apelu i zostałem w namiocie. Oficer dyżurny zaraz zgłosił się po mnie i zabrał mnie do obierania kartofli w kuchni. Powtarzało się to w każdej niedzielę. Byłem zawsze sam, bo więcej takich występujących nie było. Za pierwszym razem podszedł do mnie instruktor oświatowy i zapytał, dlaczego nie idę do kościoła.

- Bo jestem niewierzący – odparłem.
- Ach, tak – odrzekł. – A od dawna?
- Od początku.
- No, ale musisz mieć jakieś wyznanie.
- Tak, kalwińskie.
- To tak, jak Luter.
- Nie, jak Kalwin.
- Aha.

Dał mi spokój, ale widziałem, że nie bardzo mu się to wszystko podobało. Przyglądał mi się później często, lecz już bez niechęci. Może stwierdził, że nie mam rogów na głowie.

Młodzież w obozie należała do dwóch kategorii: poborowych z cenzusem, to znaczy z maturą, i poborowych bez cenzusu, czyli pochodzących ze wsi. W moim namiocie mieszkało dwunastu z cenzusem i tyle samo bez. Byli to synowie chłopscy, którzy ukończyli zaledwie parę klas szkoły podstawowej. Założeniem takich mieszanych obozów, wprowadzonych w Polsce w 1939 roku bodaj po raz pierwszy, było przełamanie bariery i zbliżenie pomiędzy młodzieżą idącą na wyższe uczelnie a rówieśnikami, którzy pozostawali na wsi i nie mogli zdobyć wykształcenia. Idea ta bardzo mi się podobała. Moim sąsiadem był Antek, chłopski syn ze wsi pod Kutnem. Chłopak niższy ode mnie prawie o głowę, krępej budowy ciała, o jasnych, jak len włosach. W pierwszych dniach rozmawialiśmy zdawkowo. Widziałem, że bacznie mi się przygląda. Próbowałem nawiązać z nim kontakt, rozmawiając na różne ogólne tematy, ale był kompletnym ignorantem. Któregoś dnia powiedziałem mu, że mam własne laboratorium i buduję radio. Oczy mu się rozjaśniły.

– Ja też mam radio kryształkowe – powiedział z dumą. – I łapię różne stacje, ale cichutko, ledwo słyhać. Marzę o aparacie lampowym.

Opowiedziałem mu o moim, będącym w budowie, i wtedy lody pękły. Okazało się, że był zapalonym radioamatorem i sporo wiedział, ale wiadomości miał nieusystematyzowane i brak mu było podstawowej wiedzy o elektryczności. Odtąd mieliśmy za mało czasu, aby się nagadać. Rysowałem schematy prostych

odbiorników lampowych, a on chłonał moją wiedzę z pasją i chciał wszystko wiedzieć. Zostaliśmy przyjaciółmi i kiedy obóz się kończył, obiecaliśmy sobie, że niedługo się odnajdziemy, ale wojna przekreśliła wszystkie nasze plany.

Z obozu napisałem do ojca list, który jakim sposobem przechował się u rodziny. Pisałem wtedy:

Zauważyłem, że mój stosunek do Ciebie różni się zasadniczo od tego, co inni myślą i mówią o rodzicach. Kiedy ja myślę o Tobie, to przede wszystkim widzę nauczyciela duchowego w najogólniejszych sprawach bytowych. Czasami, kiedy wszyscy śpią, widzę w wyobraźni przestrzeń bezbrzeżną z rozrzuconymi ciałami niebieskimi i smugę światła, rozjaśniającą ciemności, podobnie jak latarnia morska czerni nocy. Owa smuga to wzniosła myśl ludzka, myśl Demokryta, Arystarcha z Samosu, Giordana Bruno i wielu, wielu innych, która przełamuje dwie okowy: bezwład myśli ogółu i zaporę, za którą znajdują się prawa przyrody...

Ty, mój ojciec, należysz do tych ludzi, którzy rozumieją stokroć więcej od innych... i jestem Ci nieskończenie wdzięczny za to, że widzę owe światło, żeś mnie nauczył je dostrzegać, trochę rozumieć. Dalsza droga zależy ode mnie. Jeżeli ogarnie mnie ciemność, to przepadnę i pomnożę szeregi tych, co zasłaniają światło i zwiększają bezwład ludzki.

W liście skarżyłem się też ojcu, że tęsknię za samotnością i że mało kto rozumie, że nadchodzi burza.

Co kilka dni oficer oświatowy wygłaszał nawet dobrze przygotowane pogadanki. Denerwowały mnie głosy poborowych, krzyczących: „My tym Szkopom pokażemy” albo „Bracia, do spotkania w Berlinie”. Witano takie głosy oklaskami, wśród wesołości i dowcipów. Czasami byłem wręcz przygnębiany, co musiało zwracać uwagę innych, bo pytali mnie, dlaczego siedzę, jak mruk. A przed moimi oczami znowu przesunęło się nabrzeże gdańskiego portu, długie czerwone chorągwie ze swastykami i młodzież hitlerowska, pokazująca podrzynanie gardła Polakom zwiedzającym port na statku z biało-czerwonym sztandarem. – Oni nic nie rozumieją – powtarzałem sobie w myślach.

Byłem bardzo krytyczny wobec tej młodzieży. Uważałem, że większość to głupie, naiwne lekkoduchy. Później, z perspektywy lat, uświadomiłem sobie, że była to wspaniała młodzież, pierwsze pokolenie, które przyszło na świat i wychowało się w wolnej Polsce, przepełniona miłością do ojczyzny i beztroską, bo cierpienie narodu znali tylko z opowiadań rodziców i dziadków.

Podczas pożegnania na małej stacyjce w Pyzdrach, siedzieliśmy w wagonach i wyglądaliśmy przez okna, gdy na podwyższenie ustawione na środku peronu wszedł komendant obozu. Dziękował nam za pracę dla dobra Polski.

– Ojczyznę nie tylko trzeba kochać – mówił – nie tylko trzeba dla niej pracować, ale trzeba jej również bronić ze wszystkich sił, nawet z narażeniem życia.

W pociągu rozległy się oklaski. Przemówienie było krótkie, żołnierskie.

– Żegnam was, poborowi – zakończył pułkownik i dał maszyniście znak do odjazdu.

Czekaliśmy, ale pociąg ani drgnął, chociaż wyraźnie słyszałem buchanie pary z oddalającej się lokomotywy. Po chwili zagrzmiała salwa śmiechu. Okazało się, że podczas przemówienia jacyś dowcipnisie odczepili lokomotywę, która odjechała sama. Maszynista w pierwszej chwili nie zorientował się, co się dzieje i dopiero po paru minutach lokomotywa wróciła na stację. Pułkownik zeszywniał i zaczerwienił się, walczył ze sobą przez chwilę, ale w końcu i on parsknął śmiechem. Zapanowała powszechna wesołość i w takiej atmosferze nasz pociąg odjechał.

* *

Po powrocie do Warszawy, poszedłem od razu na Gęsią. Judyta nie wróciła, ale był dla mnie list, w którym pisała, że odpoczywa i nabiera sił, choć coraz bardziej niepokoi się o przyszłość oraz że tęskni za mną. Z przyjemnością czytałem ciepłe słowa, których dotychczas nie używała.

Tego lata mieszałem u mamy w Milanówku i pod koniec sierpnia specjalnie pojechałem do Warszawy, aby jeszcze raz sprawdzić, czy Judyta nie wróciła, ale zastałem zamknięte drzwi.

Jesienią miałem iść na rok do szkoły oficerskiej łączności, więc postanowiłem poświęcić ostatnie dni sierpnia na pracę w moim laboratorium i na zmontowanie rozpoczętych aparatów radiowych oraz lunety, której nie miałem czasu skończyć przez ostatnie dwa lata. Całe dni spędzałem w warsztacie, tocząc, wierząc, lutując, montując i dopasowując części. Luneta zaczęła wyglądać imponująco. Wreszcie 31 sierpnia wszystko było gotowe. Pogoda była piękna, noc gwiazdista i ciepła. Z lunetą ustawioną na statywie czekałem na werandzie na wzejście księżyca, aby na jego tarczy wypróbować wartość swojego teleskopu. Kiedy księżyc ukazał się nad drzewami, ujrzałem w mojej lunecie chropowatą powierzchnię pokrytą kraterami. Widziałem takie fotografie w książkach, ale teraz to był obraz na żywo, uzyskany z własnego przyrządu. Zbiegłem do mieszkania i poprosiłem mamę, żeby zobaczyła mój księżyc. Przyszli obydwaj z Tadeuszem, drugim mężem mamy, który był asystentem fizyki na Uniwersytecie Warszawskim. Utrzymywałem z nim bardzo przyjazne stosunki. Teraz, patrząc przez moją lunetę, zrobił krytyczną uwagę o optyce, która dawała niezaplanowane efekty świetlne.

Kiedy poszli sobie na dół, długo oglądałem księżyc i patrzyłem w niebo. Fascynował mnie ten bezkres przestrzeni kosmicznej. Bardzo lubiłem patrzeć w gwiazdy. Wpatrując się długo w głębie niebios i rozpoznając dziesiątki gwiazdozbiorów i znanych mi pojedynczych gwiazd, miałem uczucie, jakby ta przestrzeń mnie wciągała. Wydawało mi się, jakbym czuł oddech nieskończoności, która pochłania, aż wszystko inne staje się nieopisanie małe i niknie. – Na to samo niebo – myślałem – przez wieki patrzyły oczy wielkich myślicieli i uczonych, którzy torowali drogę myśli ludzkiej: Giordano Bruna, spalonego za to na stosie, Galileusza, którego zmuszano, by mówił to, czego nie myślał, czy Mikołaja Kopernika, który miał odwagę napisać prawdę i dlatego jego dzieło zostało zakazane.

Z zadumy wyrwał mnie świst lokomotywy i zgrzyt hamulców zatrzymującego się pociągu. Od torów dochodził gwar głosów, zarżał koń. – To transport wojсковy – pomyślałem – jadą w dzień i w nocy. Czyżby naprawdę miała być wojna? Do moich uszu dobiegły dźwięki ustnej harmonijki, ktoś grał na organkach. Gdzieś już słyszałem tę melodię. Tak, to taka tęskna kresowa piosenka, którą czasami śpiewała mi mama. Pociąg ruszył, para z szumem buchała z lokomotywy i koła zaczęły się toczyć po szynach, stukając miarowo. Znowu zaległa cisza.

Było już dobrze po północy, kiedy upojony obcowaniem z niebiosami, rzuciłem się na łóżko i usnąłem kamiennym snem.

Rozdział IV

Pierwszego września obudziła mnie mama.
– Romku, wstawaj – mówiła zmienionym głosem, ciągnąc mnie za ramię. – Wojna, wojna! Słyszysz? Niemcy na nas napadły. O mój Boże, co to będzie, znowu wojna!

W głosie mamy słyszałem rozpacz. Skoczyłem na równe nogi. W pokoju stołowym Tadeusz siedział nieruchomo przed odbiornikiem radiowym.

– Zaczęło się – rzucił jakby przed siebie, kiedy wszedłem – samoloty niemieckie bombardują od rana miasta i węzły kolejowe. Niemcy atakują w wielu miejscach. Nasi odpierają. Wojna. Bóg jeden wie, jak to się wszystko skończy.

Nie mogłem uwierzyć. Czyżby to działo się naprawdę? Niedługo trzeba było czekać, aby się o tym przekonać. Przed południem usłyszałem głośnie wybuchy, którym towarzyszyły wstrząsy wydobywające się jakby spod ziemi. Były to pierwsze bomby lotnicze, które spadały przy fabryce jedwabniczej Witaczka, jedynym zakładzie przemysłowym w Milanówku. Nikt wprawdzie nie zginął, ale leje wryte w ziemi świadczyły, że wojna rozpoczęła się na serio.

Tadeusz odstawił tego dnia do urzędu gminy swój nowy motocykl BSA i przygotowywał się na wojnę. Założył mundur oficerski i spakował rzeczy. Żegnaliśmy się ze łzami w oczach, pytając się wzrokiem, czy i kiedy znowu się zobaczymy. Odprowadziłem go z mamą do furtki. Oddalił się szybkim, zdecydowanym krokiem, trzymając w ręku małą walizeczkę.

Postanowiłem dokończyć schron przeciwlotniczy, który od paru dni budowałem w ogrodzie, żeby mama miała gdzie się schować na wypadek nalotów. – Przecież moje godziny tutaj są policzone – myślałem – ale odchodząc na wojnę zostawię jej chociaż ten schron. Był to głęboki rów, wykopany pomiędzy sosnami, który teraz zabezpieczyłem z boków i z góry deskami, papą, ziemią i darnią.

Z Warszawy dochodziły złe wieści. Miasto było bombardowane, byli zabici i ranni. Bałem się o ojca, który był dla mnie najdroższym nauczycielem. A co z Judytą? Wczesnym rankiem 3 września pojechałem do Warszawy rowerem, gdyż pociągi przestały kursować. Ludzie mówili o uszkodzeniu torów i nalotach na Dworzec Główny.

Mama bardzo przeżywała moje odejście. Bała się o mnie, bo wiedziała, że w mieście zaraz zgłoszę się do wojska. Prosiłem, żeby się nie martwiła, bo jestem silny i zdrowy, mam wojskowe wykształcenie i powinienem dobrze dać sobie radę.

Całowała mnie i płakała, błagała, żebym uważał na siebie. Kiedy odjeżdżałem, stała przed werandą, z której jeszcze tak niedawno oglądaliśmy księżyc. Żegnając mnie, zrobiła ręką znak krzyża. Po raz pierwszy byłem żegnany w ten sposób. Bardzo kochałem mamę, ale dla tak zdeklarowanego ateusza, jakim byłem, znak ten nie miał żadnego znaczenia. Niemniej powracał on wielokrotnie w mej pamięci, zawsze nierozłącznie związany z sylwetką żegnającej mnie mamy.

Staralem się jechać jak najkrótszą drogą, wzdłuż toru kolejowego. Przejeżdżając przez Pruszków, widziałem spalone domy i leje po bombach. Kiedy wjeżdżałem do Warszawy, zaczął się alarm lotniczy i zawyły syreny. Pomimo to jechałem dalej. Byłem już niedaleko naszej ulicy, kiedy usłyszałem wybuchy. Skrzyłem w Nowogrodzką, gdzie strzałka wskazywała schron, który mieścił się w znanym mi gmachu „Roma”, zajmowanym przez różne instytucje katolickie. Gdy stanąłem przed wejściem, drzwi otworzyły się i przywitał mnie głos zakonniczy:

– Prędej, prędej. Proszę zostawić tu rower i szybko na dół.

Schodząc po schodach, słyszałem gdzieś w górze głuchoe dudnienie samolotów. Potem rozległy się odgłosy wybuchających bomb, które musiały padać w niedalekiej odległości. Alarm wkrótce odwołano i szybko pojechałem do domu. Ojciec powitał mnie z radością, tuląc mocno do piersi. Bał się o mnie tak, jak ja o niego. Od razu zauważyłem smutek malujący się na jego twarzy.

– Stało się – powiedział, kiedy usiedliśmy na kanapie. – Nic już nie zatrzyma biegu wypadków, które przyniosą tylko śmierć, cierpienia i ruiny. Wiesz o tym – zapytał, nie oczekując odpowiedzi – że 23 sierpnia Związek Sowiecki podpisał z Niemcami hitlerowskim pakt o nieagresji.

Zamilkł na dłuższą chwilę i kiwał głową.

– Może musieli – ciągnął po namyśle – ale dla nas jest to wyrok śmierci.

Pytałem, jak to rozumie i czy Moskwa naprawdę musiała podpisać ten pakt, ale nie chciał na ten temat więcej mówić. Czułem, że boli go sam fakt podpisania przez Sowietów paktu z Hitlerem oraz że przeczuwał jakieś złowrogie konsekwencje dla narodu polskiego.

Tego dnia był jeszcze jeden alarm lotniczy, ale ojciec nie chciał schodzić do schronu. Siedzieliśmy w mieszkaniu, słuchając komunikatów radiowych i śledząc działania wojenne na dużej mapie Polski rozłożonej na stole jadalnym. Było wczesne popołudnie, kiedy nagle przzerwano nadawanie komunikatów i po chwili ciszy głos pełen wzruszenia podał wiadomość, że o godzinie 11.00 czasu londyńskiego upłynęło brytyjskie ultimatum i Wielka Brytania znalazła się w stanie wojny z Niemcami. Uścisnęliśmy się z ojcem. A więc Polska nie jest sama! Poczulem skurcz w gardle. Ojciec wziął mnie za rękę.

– Synu – powiedział – będzie to następna wojna światowa.

Spuścił głowę, zamyślił się i po chwili mówił dalej:

– Tak, to bardzo ważne, ale Anglia jest daleko i nie jest przygotowana do wojny, a Niemcy już nas atakują i są uzbrojone po zęby. Dlatego istotne znaczenie będzie miało stanowisko Francji.

Wieczorem w radiu podali, że Francja również znalazła się w stanie wojny z Niemcami. Wywarło to na ojcu duże wrażenie. Bardzo cenił ten kraj, jego ludzi

i kulturę i często dawniej słyszałem, jak z przejęciem mówił o bohaterstwie i cierpieniach Francuzów podczas I wojny światowej. W nocy długo rozmawialiśmy.

– Polska zostanie podbita przez Niemcy – mówił – nie mamy żadnej możliwości oparcia się niemieckiej machinie wojennej. Moja nadzieja, że Związek Sowiecki powstrzyma bandyckie zamiary Hitlera, zawiodła. Anglia i Francja nie mają możliwości okazania nam szybkiej pomocy. W Polsce nastąpi czarna noc rządów hitlerowskich. Cała nadzieja była w Związku Sowieckim, tylko on mógł nam pomóc – powtórzył, mówiąc jakby do siebie.

Późno wieczorem słuchaliśmy Moskwy. Bicie kremlofskich kurantów oznajmiło północ. Wiadomości składały się niemal wyłącznie z komunikatów o rekordach produkcyjnych kółchoźników w dalekich zakątkach różnych republik sowieckich. Padały nazwy miejscowości i wiosek, podawano rosyjskie i azjatyckie nazwiska, liczby i procenty. – Jak to możliwe, myślałem, zasypiając – czy ich nie obchodzi to, że Hitler bombarduje polskie miasta? Czy oni mogą żyć w spokoju, wiedząc, że tutaj toczy się wojna i giną ludzie?!

Obudziłem się wcześniej rano z mocnym postanowieniem udania się do mieszkania Judyty. Mimo wczesnej pory, na ulicach było już dużo ludzi. Stali wokół kiosków z gazetami i żywo rozprawiali na temat wypowiedzenia Niemcom wojny przez Francję i Anglię. Uśmiechali się i składali sobie nawzajem życzenia. Panował podniosły nastrój. Szedłem szybkim krokiem do przystanku tramwajowego i mijając ich, słyszałem, jak mówili: „Anglia i Francja są z nami, teraz nie musimy się już bać wojny”. Jakaś starsza pani, czekająca tak, jak i ja na „siedemnastkę”, ocierała chusteczką łzy. Podeszła do mnie, i mimo że widziała mnie po raz pierwszy, powiedziała:

– Tak się bałam, młody człowieku, że będziemy sami, a tu takie szczęście. Niech pan pomyśli, oni są z nami. Niech pana Bóg błogosławi... Obyśmy wszyscy przeżyli te ciężkie czasy.

Podziękowałem i życzyłem jej wszystkiego, co najlepsze. Siedząc w tramwaju, myślałem o Judycie. Obym tylko ją zastał, przecież powinna była już wrócić z Poronina.

Po dwóch przesiadkach znalazłem się na Gęsiej. Było tam bardzo gwaro, jakby wszyscy mieszkańcy kamienic wyszli na ulicę. Chwilami musiałem przeciskać się przez tłum rozgadanych, żywo gestykujących i sprawiających wrażenie kłócących się ze sobą ludzi. Niemal wyłącznie byli to mężczyźni w jarmułkach lub w czarnych kapeluszach. Dopiero z bliska mogłem poznać po wyrazie twarzy i śmiejących się oczach, że oni też rozmawiali na ten sam temat.

Dom poznałem z daleka. Robił wrażenie najuboższego w rzędzie stojących tam kamienic. Wbiegłem na piętro. Nadśluchiwałem chwilę przed drzwiami i zapukałem. Raz, drugi... Nikt nie odpowiadał. Sprawdziłem drzwi, były zamknięte. Postanowiłem zapytać sąsiadów. Otworzyła mi starsza kobieta. Znała Judytę, wiedziała, o kogo chodzi, ale nie widziała jej już od dawna, a w mieszkaniu od tygodni nie było słychać żadnego ruchu.

Kiedy wróciłem do domu, ojciec spostrzegł mój smutek i zapytał:

– Co, nie wróciła?

– Nie, mieszkanie zamknięte, nikogo nie ma, a sąsiedzi nic nie wiedzą.

– Tak, to jest właśnie wojna... – odrzekł i ścisnął moje ramiona. – Trzymaj się synu. Czekają cię ciężkie czasy. Musisz być odporny i twardy, inaczej zginiesz.

Na stole leżała mapa Polski. Ojciec najwyraźniej starał się rozpoznać przebieg linii frontu.

– Nic z tego nie rozumiem – powiedział, patrząc na mapę. – W komunikatach podawane są nazwy miejscowości, w których toczą się walki, jedne niedaleko granicy, inne daleko w głębi kraju. Czyżby hitlerowcy mogli dotrzeć już w okolicę Częstochowy?

W ciągu dnia słuchaliśmy cały czas radia, a ja zaznaczałem na mapie wszystkie miejscowości, w których walczone. Przypomniałem sobie, jak to samo robiłem na mapie Hiszpanii. Tam jednak rysowała się wyraźna linia frontu, tymczasem dzisiaj nie można było wyobrazić sobie żadnego obrazu sytuacji. – Może celowo w komunikatach nie są podawane ścisłe dane – pomyślałem.

Ojciec wyciągnął inny wniosek.

– Przecież Niemcy – mówił – mają dużo nowoczesnego sprzętu zmotoryzowanego. Obawiam się, że ich czołgi przełamują naszą obronę i pędzą w głąb kraju, a pomaga im w tym lotnictwo.

Wieczorem poszliśmy do Falskich na Filtrową. Zeszło się tam tylu różnych ludzi, że aż w mieszkaniu było ciasno. Pan Marian był optymistą, twierdził, że nie damy się łatwo złamać.

– Stalin się zbłądził, zawierając pakt z Hitlerem – mówił. – Zresztą jeden wart drugiego.

Jego żona, Regina, wręcz odwrotnie, uważała, że pomimo reakcji Anglii i Francji, położenie Polski jest beznadziejne. Ktoś inny stwierdził, że zna dobrze Francję i że Linia Maginota stanowi szczytowe osiągnięcie techniki wojennej, a Francuzi mogą bezpiecznie przygotować za nią uderzenie na Niemcy. – Nam trzeba wytrzymać jakieś dwa, może trzy tygodnie, a wtedy zobaczycie państwo – mówił przekonującym głosem, i ten optymizm wyraźnie udzielał się pozostałym.

Kiedy wyszliśmy od Falskich, ojciec wziął mnie pod rękę i powiedział:

– Banda durniów, łącznie z Marianem. W tym gronie tylko Regina ma zdrowy rozsądek.

Następnego dnia przed wieczorem odwiedził nas Tadeusz Strzałkowski, a zaraz po nim przyszedł Włodek Czekalski. Obaj, z niezależnych źródeł, przynieśli wiadomości, że niemieckie czołgi w wielu miejscach weszły w głąb kraju. Ślęczeliśmy nad mapą. Radio bez przerwy nadawało komunikaty o ciężkich walkach, które w wielu miejscach przybierały na sile. Czekalski, który pracował w zakładach produkujących fiaty, opowiadał, że mają sprawdzone informacje, iż niemiecka kolumna pancerna po zajęciu Częstochowy kroczy na Warszawę. Tego dnia walki miały się toczyć w połowie drogi. Te przerażające wiadomości świadczyły, że za kilka dni wróg mógł znaleźć się pod Warszawą. Strzałkowski opowiadał, że chciał się zmobilizować, ale nie było z kim rozmawiać. Wszyscy zastanawiali się nad sowiecko-niemieckim paktem o nieagresji. Ojciec dowodził, że Sowietom nie mogli postąpić inaczej. Nie mogli dać się wciągnąć w wojnę,

a musieli zapewnić sobie bezpieczeństwo granic. Wydawało mi się to logiczne, choć nie mogłem pogodzić się z myślą, że państwo robotników i chłopów mogło podpisać jakiekolwiek porozumienie z takim bandytą, jakim jest Hitler.

Ojciec uważał, że sytuacja jest tak poważna, że wszyscy trzej powinniśmy liczyć się z koniecznością podjęcia życiowych decyzji, zanim będzie za późno.

– Kiedy Niemcy podejną pod Warszawę – mówił – radzę wam pójść na wschód i zrobić wszystko, żeby nie dostać się w łapy hitlerowców.

– Jeśli dostaniecie się w ich ręce, prędzej czy później źle to się dla was skończy. Ja mam sześćdziesiąt dwa lata, jestem już za stary na wędrowną. Będę czekał w domu na mój koniec, ale wy, młodzi, musicie się ratować. I powinniście zabrać ze sobą rodziny. Nie wierzę, aby nasze wojska mogły długo stawiać opór, ci bandyci mają zbyt dużą przewagę. Przecież oprócz własnych narzędzi zabijania, mają także broń austriacką i czeską.

Pozegnaliśmy się z ciężkim sercem, obiecując sobie, że będziemy w kontakcie. Wypadki toczyły się jednak szybciej niż w naszych najczarniejszych przewidywaniach. Strzałkowskiego już więcej w życiu nie zobaczyłem. Władka Czekalskiego spotkałem później w zupełnie nieoczekiwanych okolicznościach.

* * *

Szósty dzień września wydawał się potwierdzać przewidywania ojca. Z komunikatów wynikało, że nasze wojska stawiają rozpaczliwy opór, ale nie są w stanie powstrzymać hitlerowców. Znowu odwiedziliśmy Falskich. U nich również panowało przygnębienie, pan Marian wyglądał źle, był bladej i apatyczny, zupełnie nie ten sam, co dwa dni temu. Kiedy wróciliśmy, usiadłem na swoim łóżku i wodziłem wzrokiem po książkach, które jeszcze nie tak dawno z takim zapalem wertowałem od deski do deski. Cała moja wiedza, umiłowanie astronomii, fizyki, nauki o ziemi, wszystko wydawało się uciekać gdzieś w nieznane, stawać się niepotrzebne. Wyjąłem z szafy plecak i spakowałem kilka najdroższych mi książek. Przecież to dziecinada – pomyślałem po chwili – żeby wybierać się na wojnę z książkami, i poustawiałem je z powrotem na półce. Zacząłem przygotowywać rzeczy, które wydawały mi się konieczne – suwak logarytmiczny, busołą, duży harcerski nóż, dokładną mapę Polski, manierkę i kilka przyborów turystycznych, z którymi chodziłem po wysokich Tatrach, gruby wełniany sweter, trochę białej, ciepłe skarpety. – Będę się przedzierał na wschód – rozważałem w myślach – a jeśli będzie trzeba, przekroczę granicę Związku Sowieckiego i zgłoszę się na ochotnika do Armii Czerwonej. Jeżeli szczęście będzie mi sprzyjało, zatknę w końcu czerwony sztandar w Berlinie. A jeśli zawiedzie, będę leżał gdzieś w rowie i tak się to skończy. Sam się jednak dziwiłem, jak bardzo byłem pewien, że się nie dam, że zniosę wszystkie trudy, a szczęście mnie nie opuści.

Myśli te przerwał dzwonek do drzwi. Słyszałem, jak ojciec otworzył, rozmawiał z kimś, a potem wszyscy przeszli do jego gabinetu. Poszedłem zobaczyć, kto przyszedł. Byli to sąsiedzi z góry, państwo Szirmer, jeśli dobrze pamiętam nazwi-

ska, chyba jedyni Żydzi, jacy mieszkali w naszej kamienicy. Ich syn, Roman, był ode mnie dwa lata młodszy. Znałem go tylko z widzenia, ale musieliśmy mieć podobne zainteresowania, bo co pewien czas wieczorem na podwórku robiło się prawie jasno, kiedy eksperymentował on ze swoją lampą łukową.

– Panie Spasowski – zaczął Szirmer – przepraszamy, ale takie czasy. Niech pan, taki uczony człowiek, powie łaskawie, co z nami będzie?

Poczułem bolesne ukłucie. Przecież to było to samo pytanie, które zadawała Judyta.

– Ten Hitler to szaleniec – mówił dalej Szirmer – on nas nie oszczędzi, on nikogo nie oszczędza. Mamy informację z Niemiec o tym, co tam wyprawia z Żydami. To się w głowie nie mieści, panie Spasowski. Ludzie mówią, że już są niedaleko, że Hitler będzie u nas za parę dni. Co to będzie? Niech pan powie.

Ojciec nie chciał ich uspokajać. Wyłożył swoją ocenę i przewidywania. Obiecał, że pozostanie z nimi w kontakcie i jak tylko będzie mógł, będzie służył radą. Wychodzili jeszcze bardziej przygnębieni, niż przyszli.

Ledwo zamknęły się za nimi drzwi, kiedy dzwonek odezwał się ponownie. Otworzyłem i zobaczyłem kilku mężczyzn w tramwajarskich mundurach. Prosił o rozmowę z profesorem Spasowskim. Kiedy usiedliśmy wszyscy w gabinecie ojca, tęgi barczysty tramwajarz powiedział:

– Mamy złe wiadomości, Niemcy są pod miastem. Nasi walczą z czołgami na dalekiej Ochocie, budują barykady z czego się da, jest tam dużo naszej artylerii przeciwlotniczej i przeciwpancernej, a wojsku pomaga ludność. Jesteśmy z PPS-Lewicy, znamy książki pana profesora i bardzo szanujemy. Co mamy robić?

– Sami musicie zdecydować – powiedział ojciec. – Macie dwie możliwości, obydwie bardzo trudne i niebezpieczne, jak nasze obecne życie. Albo pozostanie w Warszawie i włączenie się do obrony miasta, albo – ale to raczej dla młodszych – wymarsz na wschód, żeby nie dać się Niemcom wziąć do niewoli.

Ojciec spojrział na mnie i dodał:

– Wolałbym, żeby tak właśnie postąpił mój syn, choć bardzo go kocham i chciałbym mieć go przy sobie.

Wysłuchali rad ojca i zaraz poszli.

Wieczorem znowu słuchaliśmy radia, kiedy zadzwonił dozorca, pan Józef, który obchodził wszystkie mieszkania z zawiadomieniem, że młodzi ludzie mają późnym wieczorem zgromadzić się na placu Unii Lubelskiej, gdzie zostanie podane ważne ogłoszenie. Nic więcej nie wiedział.

O 21.00 wyszliśmy z domu. Zapadał zmierzch. Na ulicach było pełno ludzi, którzy szli chodnikami i jezdnią. Nie świeciły się żadne światła, domy sprawiały wrażenie wymarłych. Minęliśmy plac przed Politechniką i ulicą Polną zbliżyliśmy się do Placu Unii. Tłum ludzi stał na placu i w przyległych ulicach. Byli to przeważnie młodzi mężczyźni, choć zdarzali się także starsi, a nawet kobiety z dziećmi. Chodzili tam i z powrotem, pojedynczo i po kilka osób, wszyscy podnieceni oczekiwaniem. Trwało to dosyć długo, zanim z głośnika odezwał się donośny głos. Tłum uciszył się i usłyszał wezwanie skierowane do wszystkich młodych mężczyzn Warszawy, którzy mogli służyć w wojsku, do natychmiasto-

wego przejścia na Pragę, gdzie dalej zostaną skierowani w celu zmobilizowania do wojska. Głos zapowiadał, że Warszawa będzie się bronić. – Żołnierz polski – rozległo się z głośnika – bohaterstwo broni Ojczyzny, odpierając ataki i zadając nieprzyjacielowi ciężkie straty. Wezwanie zakończyło się słowami „Niech żyje Polska!”.

Tłum nie rozchodził się. Ludzie naradzali się przyciszonymi głosami, gdzieś niedaleko pod murem kamienicy rozległ się histeryczny szloch kobiety. Wracaliśmy do domu w milczeniu. Nigdy nie widziałem takiej Warszawy. Ciemności nie rozpraszało najmniejsze światelko, blask rozjarzonego gwiazdami nieba kładł się na murach, w których czerniły się oczodoły bram i okien. Ze wszystkich stron pojawiały się, a następnie znikwały w ciemnościach, jak jakieś nocne mary, sylwetki ludzi, wydających przyciszone głosy. Z tych zaciemnionych przeciwlotniczo ulic, pełnych ludzi wlokących się jak widma, wiała groza.

Kiedy weszliśmy na trzecie piętro i spojrzałem na ojca, zobaczyłem jego smutne, zapadnięte oczy, osadzone w zastygłej twarzy. Nie płakał, tylko ścisnął mocno moją rękę.

– Wybiła godzina – rzekł cichym, zdławionym głosem. – Nie masz na co czekać. Musisz walczyć, żeby nie stracić wolności. Jeśli nie będzie jej w Polsce, przekroczysz granicę sowiecką i tam przyjmą cię w państwie robotników i chłopów. Proszę cię tylko o jedno, bądź rozsądny i zawsze pryncypialny, wierz w komunizm i wierz swemu ojcu, komuniści w końcu zwyciężą. Nigdy nie zapominaj o naszych rozmowach.

Rzuciliśmy się sobie w ramiona. Długo obejmowałem ojca swoimi silnymi rękami, pragnąc zapamiętać ten uścisk na zawsze.

Rzeczy miałem prawie spakowane. Dołożyłem wiatrówkę, latarkę, zabrałem wszystkie okulary i przybory do szycia. Ubrałem się jak w Tatry – w spodnie pumpy, grube tatrzańskie skarpety i mocne skórzane buty. Ojciec przyniósł mi pieniądze, wszystkie, jakie miał, polskie złote i trzy czy cztery złote dwudziestodolarówki. Odmówiłem stanowczo. Miałem swoich uskładanych siedemdziesiąt złotych i tylko te pieniądze postanowiłem zabrać. – To ojcu będą potrzebne pieniądze – myślałem. – Ja zostanę wcielony do wojska, jeśli nie zaraz, to za parę dni i nie będę niczego potrzebował. A jeśli przekroczę granicę i znajdę się wśród sowieckich przyjaciół, dadzą mi wszystko, co będzie mi potrzebne. Ojciec jednak nalegał i w końcu uprosił mnie, żebym wziął jego ulubiony zegarek, starą, ale świetnie działającą Omegę w stalowej kopercie.

Pożegnaliśmy się długim uściskiem dłoni, patrząc sobie w oczy, po czym ojciec przytulił moją głowę do serca. Zbiegłem po schodach, na dole odwróciłem się i spojrzałem na trzecie piętro, w kierunku naszych okien. Za bramą pochłonięty mnie ciemności ulicy. Dochodziła 2.00. Noc była ciepła. Gdzieś jeszcze snuli się ludzie. Miasto spało. Szedłem w kierunku ulicy Marszałkowskiej, którą zamierzałem przeciąć, aby następnie Alejami Ujazdowskimi dojść do Alej Jerozolimskich i skrócić w prawo, na most Poniatowskiego. Myślałem o mamie i ojcu. Coraz natręczywiej powracała też myśl, że właśnie teraz, przed ostatecznym pożegnaniem Warszawy, muszę sprawdzić, co dzieje się z Jedytą. Może

ona czeka na mnie i potrzebuje pomocy. Tak wierzyła, że ja wiem, co będzie... Takim zaufaniem mnie darzyła... Powiedziała wszystko o sobie... Czy mogę ją zawieść? Mogłaby pójść ze mną w świat? Wydaje się silna i zdrowa. Będziemy razem wędrować i nie damy się złapać hitlerowcom. Tak, na pewno poszłaby ze mną. Widziałem twarz Judyty, te duże piękne oczy, włosy opadające na ramiona, szczerzy i przyjazny uśmiech, pełen zaufania. – No dobrze – myśli kotłowały się w mojej głowie – a z jednej strony, co się z nią stanie, jeśli pójdę do wojska? Czy nie bezpieczniej będzie dla niej w Warszawie? Z drugiej, co mnie w końcu łączy z Judytą? Znamy się parę miesięcy, widzieliśmy się trzy razy. Owszem, spodobała mi się, ale co z tego wynika? Żebym chociaż wiedział, że będę w stanie ją uratować, ale ja nawet nie wiem, czy sam się uratuję.

Dochodziłem do skrzyżowania Alej Jerozolimskich z Nowym Światem i byłem zdecydowany kierować się na most, gdy znów zobaczyłem przed oczami twarz Judyty. Wydawało mi się, że słyszę jej głos: „Powiedz, Romku, co z nami będzie?”. Odruchowo skręciłem w kierunku Starego Miasta. Rozmyślając, przeszedłem Nowy Świat, Krakowskie Przedmieście i skręciłem w Miodową. Upewniony o słuszności swej decyzji, przyspieszyłem kroku. Minąłem Plac Krasińskich i przez Franciszkańską doszedłem do Gęsiej. Było około 3.00. Snuło się tu więcej ludzi niż w mojej dzielnicy. Stali pod ścianami i cichutko szeptali coś po żydowsku. Niektórzy szli, niosąc bagaże. Kiedy dochodziłem do domu Judyty, na niebie zaczął pojawiać się blask wstającego dnia. Wbiegłem na piętro, żarówka pod sufitem nie świeciła się. Po omacku odnalazłem drzwi, zastukałem raz i drugi. Nikt się nie odzywał. Stałem w milczeniu, nasłuchując, kiedy do moich uszu dobiegł jakiś szep. – Jest – pomyślałem i zapukałem mocniej. Po chwili odezwał się po żydowsku kobiecy głos. Wydawało mi się, że to kuzynka Judyty.

– To ja Romek, przyszedłem do Judyty.

Zaskrzypiał klucz i drzwi się otworzyły.

– Niech pan zaczeka, zapalę świecę, bo światła nie mamy – mówiła kobieta.

– Czy Judyta wróciła? – zapytałem z niepokojem.

– Nie, nie wróciła i nic o niej nie wiem. Bardzo się martwię.

Stałem jak wmurowany. Tak bardzo chciałem ją zobaczyć. Zabłyśta zapalka i zapłonęła świeca.

– Przepraszam, nie jestem sama, ale niech pan wejdzie – powiedziała kobieta. – Jest ze mną narzeczony. Wie pan, takie straszne czasy, chcemy być razem. Kto wie, jak długo...

– Dziękuję, ja tylko na chwilę. Jak wróci Judyta, proszę jej powiedzieć, że przyszedł do niej Romek. Idę do wojska, a jeśli się nie dostanę, to pójdę do Związku Sowieckiego, żeby walczyć z faszyzmem. Niech Pani jej powie, że Romek zawsze pozostanie taki sam i że chciał jej pomóc, bo...

Nie dokończyłem i zamilkłem.

Zapanowało milczenie. Ktoś poruszył się na łóżku.

– Muszę już iść. Do widzenia – przerwałem ciszę uwięzionym w gardle głosem i wyszedłem.

Na klatce było zupełnie ciemno, o mało się nie przewróciłem na jakimś połamany stopniu schodów. – Teraz już naprawdę zamyka się za mną dotychczasowe życie – pomyślałem. – Wszystko zostawiam za sobą.

Na zewnątrz zaczęło się rozwidniać. Szedłem szybko przed siebie, wybierając najkrótszą drogę do mostu Poniatowskiego. Na nic nie zwracałem uwagi, mijałem obojętnie drzewa w Ogrodzie Saskim, znane mi skwery i domy, ludzi niosących i ciągnących swój dobytek. Na moście panował tłok. Było już prawie jasno. Wszyscy, nawet kobiety i dzieci, nieśli tobołki, walizki, worki. Przystawali, ocierali pot z twarzy, mimo że była przyjemna letnia temperatura. Nie czułem zmęczenia, byłem w świetnej formie fizycznej, a mój prawie pusty tatrzański plecak był lekki jak piórko. Szedłem długim równym krokiem, wyprzedzając wszystkich po drodze.

Na przedmieściach Pragi skręciłem w prawo, na szosę lubelską, która wiodła w kierunku południowo-wschodnim. Nikt nie wskazywał, gdzie iść, jak to zapowiadano wczoraj wieczorem na Placu Unii. Cały tłum spieszył w tym samym kierunku, na Lublin, gdzie – jak mówiono – ma być zaciąg do nowej armii, złożonej z niezmobilizowanych poborowych i ochotników.

Dzień powstał na dobre. Daleko na horyzoncie majaczyły mury Warszawy. Gdzieś zza Wisły dobiegał głuchy pomruk toczących się walk, który miał mi towarzyszyć przez wiele dni i nocy. Co chwila wydawało mi się, że widzę, jak rozbłyskuje niebo nad drugim brzegiem Wisły. Pogoda zapowiadała się wspaniale, niebo było czyste, bez najmniejszej chmurki. Kiedy wzeszło słońce, odgłosy walki na ziemi nieco przycichły, za to od czasu do czasu wysoko w górze słychać było dudnienie samolotów. Stawałem i wytyczałem wzrok, żeby na tle błękitnego, rozjaśnionego słońcem nieba dostrzec małe srebrne punkciki. Ludzie zatrzymywali się, podnosili głowy, ale przeważnie nie mogąc nic zobaczyć, brali ponownie walizy i tobołki, po czym ruszali dalej przed siebie. – Gdzie oni tak idą? – zastanawiałem się – Starcy, kobiety, małe dzieci, wszyscy taszczący ze sobą swój dobytek. Czasami, mijając wpatrzonych w niebo ludzi, słyszałem czyjś głos, który tłumaczył: nie wierzę, żeby to były szkopskie samoloty, Niemcy takich nie mają. To muszą być nasze, francuskie albo angielskie. Tych samolotów nie trzeba się bać. Oni patrzą z góry, co się u nas dzieje. Wielokrotnie później słyszałem podobne słowa, gdyż wiara Polaków w aliantów zachodnich była bardzo silna.

Słońce było już wysoko i powoli robiło się gorąco. Zanosilo się na kolejny upalny dzień. Od czasu do czasu przysiadalem pod drzewem na skraju rowu i odpoczywałem, a wtedy doganiali mnie ci, których wcześniej minalem. Często nieśli już mniej bagażu, a mimo to ciągle ocierali pot z twarzy. Przed chwilą wyprzedziłem rodzinę, która ostatkiem sił wlokła ze sobą wypchane walizy, a teraz już tylko ojciec niósł walizkę, a reszta szła zmęczona, z przewieszonymi na rękach paltami. W rowach leżały przeróżne porzucone rzeczy.

Po południu i ja poczułem zmęczenie. W górze nadal dudniły samoloty. W chwilach, kiedy ich odgłosy stawały się mocniejsze, ludzie schodzili z drogi do lasu lub w poszukiwaniu chłopskich chałup, gdzie mogliby przysiąść i odpoc-

cząć. Coraz częściej zaczęły się powtarzać odgłosy pojedynczych dalekich wybuchów, świadczących, że te niewinnie wyglądające srebrne punkciki niosą ze sobą śmiercionośne ładunki.

Pomimo zmęczenia postanowiłem iść dalej, żeby jak najszybciej zbliżyć się do Lublina. Przeszedłem ponad pięćdziesiąt kilometrów. Było jeszcze jasno, kiedy minąłem Garwolin. Wokół drewnianych parterowych domów w podnieceniu kręcili się ludzie, przeważnie Żydzi, którzy stanowili większość mieszkańców tego miasteczka. Widać było, że sami nie wiedzą, co mają robić, patrzyli więc na tłum ludzi, który zdążył drogą na południowy wschód. Może i oni powinni tam iść? Minąłem pejsatego Żyda w sile wieku, który stał przy drodze w dużym czarnym kapeluszu i zdawał się pytać oczami: „Po co wy tam idziecie? Dlaczego tam, a nie gdzie indziej?”.

Słońce zaczynało się chylić ku zachodowi i upał zelżał, gdy z kierunku, w którym szedłem, rozległy się głośnie wybuchy i po jakimś czasie wykwitła nad horyzontem ciemna plama dymu. Miałem ją przed oczami aż do czasu, kiedy zaczęło się ściemniać i dym zamienił się w lunę, która miejscami była jasna, jak gdyby były tam płomienie. Miałem dosyć marszu, zboczyłem w kierunku jakiejś wsi i wszedłem do pierwszej chaty. W środku siedziało już wiele osób, tak jak ja szukających noclegu. Poprosiłem o zgodę na przenocowanie. W izbie nie było już miejsca, ale ja liczyłem tylko na spanie w stodole. Podziękowałem za wieczerzę, bo nie mogłem jeść. Napiłem się wody i poszedłem do stodoły, gdzie zakopałem się w sianie i zasnąłem twardym snem.

Wcześniej rano obudziło mnie pianie koguta. Gospodarz był już na nogach i dostałem skromne śniadanie. Biednie tam było, ale czysto. Na ścianie wisiał święty obraz przedstawiający Chrystusa w koronie cierniowej. Gospodarz nie chciał zapłaty. – Może i my jutro będziemy wygnańcami – mówiła gospodyni i pożegnała mnie słowami: – Niech pana Bóg prowadzi. Przypomniała mi się mama. Odchodząc myślałem, jak bardzo dużo ludzi u nas jeszcze wierzy w Boga i ta wiara jest chyba tak mocno zakorzeniona, że trzeba będzie wiele oświaty, żeby przemóc zabobony, które nagromadziły się przez stulecia.

Doszedłem do szosy, gdzie ludzi było mniej niż wczoraj. Ruszyłem w dalszą drogę. Dymu nad horyzontem już nie było, tylko w oddali unosił się jakby mały błękitny obłoczek. – Już się spaliło – pomyślałem. Wkrótce zacząłem zbliżać się do miasteczka, które paliło się w nocy. To były Ryki, podobne wielkością do Garwolina. Z domów pozostały tylko murowane kominy i niektóre ściany stojące wśród zgłiszcz i ruin. Czerwony żar tlił się jeszcze na rumowiskach, a w powietrzu unosił się swąd spalenizny. Po raz pierwszy widziałem zbombardowaną i spaloną małą miejscinę, gdzie jeszcze poprzedniego dnia mieszkańcy krzatali się wokół domostw i zapewne wielu z nich było w rozterce, co robić: zostać czy iść w nieznane. Wśród pogorzeliska chodzili jacyś ludzie. Może szukali resztek dobytku, może ludzkich szczątków. Idący szosą przystawali i patrzyli w milczeniu. Kobiety żegnały się znakiem krzyża. Na twarzach ludzi malowało się nieme osłupienie. Przecież jeszcze wczoraj było tu stare, liczące setki lat miasteczko, a dziś pozostały zgłiszcz i trupy ludzkie leżące na gruzach.

Zacisnąłem pięści i poczułem skurcz w gardle. – Doczekałem się – myślałem. – To nie jest sen ani przywidzenie. Hitlerowcy są już u nas. Robią to samo, co robili w Hiszpanii, gdzieś nad Ebro lub innymi rzekami, w małych miasteczkach, które na mapie rozłożonej w naszym pokoju były tylko punkcikami. Słuchałem wtedy ojca i wierzyłem mu, ale nie umiałem sobie wyobrazić, co to oznacza. Dziś, u moich stóp leży żarząca się jeszcze belka, która do wczoraj stanowiła strop domu, a obok z cegieł i popiołu wystaje poszarpany but. Kto wie, jaki los mnie spotka? Jedno jest pewne: nie mogę dać się hitlerowcom złapać. Jeśli przeżyję, przyjdzie dzień zapłaty, a jak nie, to w żadnym razie nie mogę poddać się za darmo.

Tak rozważając, szedłem dalej w ludzkim tłumie, który stał się już tak gęsty, jak wczoraj. Dzień był upalny, niebo czyste, ale nad głową, gdzieś w niebiosach ciągle unosiło się niepokojące dudnienie. Za Rykami szosę lubelską przecinała droga do Dębina, gdzie znajdował się wojskowy ośrodek szkolenia lotniczego. Potem przeszedłem przez most na rzece Wieprz. To stąd, w 1920 roku, uderzyło natarcie Piłsudskiego, które zadecydowało o klęsce bolszewików. Być może historia potoczyłaby się inaczej i nie byłoby tej wojny, gdyby nie to natarcie. Może mielibyśmy dziś Sowietów w całej Europie i zapanowałyby na zawsze spokój?

Było już dobrze po południu, gdy rozmyślania przerwał mi szum motorów i szczęk gąsienic. Z rozstępującego się tłumy cywilów wynurzył się opancerzony ciągnik, a za nim przyczepione działo armatnie ciężkiego kalibru. Przystanąłem. Za pierwszym ciągnikiem jechał drugi, trzeci i następne, cała kolumna kierująca się na Lublin. Pierwszy zatrzymał się akurat naprzeciw mnie. Młody energiczny oficer patrzył w mapnik i coś długo oglądał. Potem nasłuchiwał. Podbiegł do niego sierżant, zaszutował i o czymś rozmawiali. Bez namysłu podszedłem do oficera.

– Panie kapitanie, jestem poborowym z cenzusem, miałem właśnie iść do podchorążówki łączności, mam za sobą przeszkolenie wojskowe, obóz w Modlinie i obóz pracy nad Wartą. Idę do Lublina, żeby się zmobilizować. Proszę o przyjęcie na ochotnika.

Oficer spojrzał zmęczonym wzrokiem.

– Po maturze... podchorąży... – mruknął.

– Bardzo proszę o przyjęcie – powtórzyłem.

– No to wskakuj między ciągnik a działo. Tylko uważaj, żeby ci się noga nie poślizgnęła, bo zrobi z ciebie marmoladę. Sierżancie – zawołał, wskazując na mnie – ten pojedzie z nami.

W ten sposób, zupełnie nieoczekiwanie, zostałem wcielony do wojska. Byłem szczęśliwy. Wreszcie się przydam i może ukręcę głowę jakiemuś Szkopowi. Mocno ścisnąłem ręką uchwyt, bo rzeczywiście na wybojach nogi ślizgały mi się po stalowych łączach działa. Wierzyłem jednak własnym mięśniom i droga mijała szybko. Nie pytałem, gdzie jadę, bo i nie było jak. Ale nie obchodziło mnie to, grunt, że kierunek był słuszny.

Słońce zbliżało się ku zachodowi i długie cienie kładły się już na szosie. Z zadowoleniem liczyłem przejechane kilometry. W pewnym momencie znów usły-

szalem dudnienie samolotów. Podniosłem głowę, ale nie mogłem nic zobaczyć, bo podskakiwaliśmy na wybojach. Dudnienie jednak nie ustawało, a wydawało się nasilać i zbliżać ze wszystkich stron. Dowódca, który jechał w pierwszym ciągniku, podniósł rękę i kolumna zatrzymała się. Nasłuchiwał przez chwilę, popatrzył przez lornetkę i zaraz dał rozkaz: „Szybko do lasu”. Ciągniki, jeden po drugim, zjechały z drogi i przez pole sunęły w kierunku odległego o kilkaset metrów lasu. Dudnienie wydawało się natężyć. Właśnie wjeżdżaliśmy między drzewa, kiedy z ogłuszającym hukiem wybuchły pierwsze bomby. Usłyszałem chrapliwy krzyk: „Lotnik, kryj się!”.

Zeskoczyłem i wpadłem między drzewa. Biegłem przez chwilę, ale wybuchy bomb ogłuszyły mnie i upadłem tuż przed jakimś grubym drzewem. Rwąc rękami mchy i trawy, wtulałem się między korzenie i przyciskałem głowę jak najsilniej do ziemi, dokładnie tak, jak uczył w twierdzy w Modlinie znenawidzony przeze mnie sierżant Dymsza. Bomby padały nadal, po kilka, jakby seriami. Mimo że leżałem twarzą do ziemi, co chwila miałem w oczach oślepiające błyski, czułem dotkliwe wstrząsy i ogłuszający huk – wszystko równocześnie. Po chwili wybuchy jakby się oddaliły, gdy nagle... Pamiętam tylko błysk...

Było już ciemno, kiedy ktoś szarpnął mnie za ramię.

– Hej, co ci jest? Jesteś ranny?

– Nie wiem – mamrotałem, nie wiedząc, co się ze mną dzieje. Wszędzie czułem dotkliwy łamiący ból, w krzyżu, w nogach, w plecach. Jakaś ręka macała mnie i po chwili głos powiedział:

– Krwi nie czuję, panie poruczniku, to chyba oszołomienie. Przecież on jest przy samym leju.

Słyszałem te słowa jak przez sen. – Nie wiem, nie wiem – powtarzałem sam do siebie. Machinalnie przesuwalem ręką po głowie, po szyi, po ramionach – były suche, nie czułem krwi.

– No to ruszaj się – odezwał się znowu głos – bo zaraz jedziemy. Ale rąbali, skurwysyny.

Oddalił się. Oprzytomniałem i powoli dochodziłem do siebie. Usłyszałem jęczenie, ktoś wołał pomocy, ktoś inny charczał w pobliskich krzakach. Chciałem się podnieść, ale nie byłem w stanie. Wszędzie czułem ból, a najgorszy w krzyżu. Ze wszystkich stron dochodziły jęki i wołanie o pomoc. Słyszeć było chrzęst liści i gałęzi. Jacyś ludzie chodzili po lesie. – Na pewno zbierają rannych – pomyślałem. Mijały długie chwile i nikt do mnie nie podchodził. Postanowiłem wstać, ale nadal nie mogłem. Wreszcie podeszła jakaś postać i znajomy głos zapytał:

– Co, nie możesz wstać?

– Nie, nie mogę.

– Czekaj, pomogę ci.

Nieznane ramię dźwignęło mnie do góry.

– Uklęknij najpierw na kolana, sprawdzimy jeszcze raz, czy jesteś cały.

Ręka znowu mnie dotykała.

– Widzisz, czasami mało widać i tak na świeżo prawie się nie czuje, a rana może być niebezpieczna.

Stałem pod drzewem.

– Zaraz jedziemy, zbierają już resztę. Miałeś szczęście, nieźła była rąbanka... Zaraz wrócę i pomogę ci przejść, tylko nie wpadnij do leja. Ładnie byś wyglądał, gdyby nie ten pocciwy dąb!

Ledwo trzymałem się na nogach, cały się trząsałem. Po chwili nieznajomy wrócił i zaprowadził mnie na skraj lasu, gdzie stały samochody.

– Pospieszcie się, ładować rannych, tylko ostrożnie! – krzyczano.

Ktoś podszedł do mnie.

– Co ci jest, cywil?

– Chyba nic, tylko nie mogę się ruszać.

– To znaczy, że tylko szok. Miałeś szczęście. Wacuś, sprawdź, czy on nie jest ranny.

Wacuś znowu obmacał moje ciało.

– Nie, panie poruczniku.

– No to wsiadaj na platformę – podał mi rękę i podsadził.

Zacisnąłem z bólu zęby i wgramoliłem się na ciężarówkę. Zatrzaśnięto klapę i samochód ruszył. Dookoła leżeli ranni, słychać było jęki. Za każdym razem, kiedy ciężarówka podskakiwała na wybojach, jęczenie wzmagало się. Klęknąłem przy najbliższym żołnierz, opartym o burtę. Broczył krwią, jęczał i patrzył na mnie błagalnie. Jego ręka zwisała bezwładnie. Kiedy samochód przechylał się, białe kości ukazywały się spod rozszarpanej skóry. Trzymałem tę jego rękę, bojąc się, żeby nie odpadła. Droga dłużyła się okropnie. Czułem słodki zapach krwi żołnierza, którą umazane miałem całe ręce. Coraz bardziej zbierało mi się na wymioty i z trudnością się powstrzymywałem. Nagle samochody zatrzymały się. Jacyś ludzie chodzili wokół z latarkami i o coś się sprzeczałi. Otwarto tylną klapę i kilku ludzi wdrapało się na ciężarówkę. Wstałem. Ktoś zapytał:

– A tobie co?

– Nic – odpowiedziałem – chyba...

– No to zjeżdżaj z tego wozu – przerwał mi nieznajomy. – My wieziemy ciężko rannych do szpitala. Widziałeś go, cywil, nic mu nie jest i wieź go między rannym wojskiem.

Nie sprzeciwiałem się. Zsunąłem się z ciężarówki, która za chwilę ruszyła, a za nią odjechały następne. Patrzyłem, jak znikają w ciemności. Uszedłem kilka kroków i zacząłem wymiotować. Myślałem, że wypruje mi wnętrzności. Miałem zamęt w głowie, siedziałem oparty o coś, ubrudzony krwią i zarzuty. Może usnąłem, nie pamiętam. Kiedy się ocknąłem, była jeszcze noc, a nade mną jarzyły się gwiazdy, błyszczące niby brylanty. Byłem załamany, straciłem zaufanie we własne siły. Niczego już nie chciałem i nie myślałem o niczym.

Zrobiło się jasno, a ja nadal siedziałem z tępym wzrokiem utkwionym w jedno miejsce. Wreszcie kobiecy głos wyrwał mnie z tego odrętwienia.

– O mój Boże! Tyle krwi, cały zalany krwią.

Nie odzywałem się, było mi wszystko jedno. Kobieta nachyliła się i popatrzyła mi w twarz.

– Pan żyje, o mój Boże, niech pan zaczeka, zaraz przyjedzie mąż z synem i pana zabiorą.

Oddaliła się. Patrzyłem za nią bezmyślnie. Wkrótce przyjechał wóz, na którym zabrali mnie do chaty. Ludzie ci okazali mi wiele serca. Zdjęli ze mnie zakrwawione i śmierdzące ubranie, umyli i położyli do łóżka. Kiedy obudziłem się w południe, spodnie, sweter i koszula suszyły się już na słońcu. Bolało mnie całe ciało, zwłaszcza krzyż. Pojawiło się także nieznane mi dotychczas uczucie lęku, kiedy do uszu dobiegało dudnienie samolotów albo odgłosy dalekiego bombardowania.

Przy obiedzie gospodarze powiedzieli, że z obawą zabierali mnie do domu, gdyż byli przekonani, że jestem ciężko ranny, bo tak upiornie wyglądałem. – Skąd ta krew? – pytali.

Opowiedziałem im o swoich nocnych przejściach. Cała rodzina patrzyła na mnie z przejęciem i życzliwością.

– Popatrzcie – mówił gospodarz do swoich – student, pewnie z dobrego domu i rodziców miał pewnie uczonych. Teraz wojna, więc idzie w świat, sam nie wie, dokąd, nie wie nawet, gdzie tej nocy głowę położy. A widzieliście, jak wyglądał, gdyśmy go tu z matulą przywieźli. Straszna sprawa ta wojna.

Żegnaliśmy się ze wzruszeniem, jak starzy przyjaciele.

– Niech pana Bóg prowadzi – wołał gospodarz, machając ręką.

– Miałem szczęście w nieszczęściu – pomyślałem – że znalazła mnie ta kobieta, która właśnie wczesnym rankiem wracała od córki, gdzie urodziło się dziecko. Odchodząc, obejrzałem się jeszcze za siebie, aby zapamiętać tych dobrych ludzi. Wokół pobielonej chaty barwiły się różnokolorowe kwiaty, a nad nimi złociły się w słońcu słoneczniki. – Prawdziwa polska, chłopska chata i dobre serca – podsumowałem w myślach.

* * *

Wczesnym popołudniem zbliżyłem się do szosy lubelskiej. Było tam rojno od ludzi, którzy wydali mi się jacyś inni niż ci spod Warszawy. Nie nieśli ciężkich pakunków i robili wrażenie przestraszonych i zagubionych. Pojazdów było mało, co jakiś czas jechały wóz lub bryczka, rzadko pojawiał się samochód. Z zachodu dochodziły wyraźne odgłosy wojny, niby groźne pomruki nadchodzącej burzy. Od czasu do czasu, w znacznie bliższej odległości, słychać było pojedyncze wybuchy bomb. Stałem przy szosie w cieniu drzewa i przyglądałem się ludziom. Ku mojemu zdziwieniu zauważyłem, że część z nich idzie w kierunku przeciwnym niż wszyscy, to znaczy na Warszawę. Właśnie zbliżał się do mnie idący w tamtą stronę mężczyzna w rozpiętym i wymiętym kolejarzkim mundurze i służbowej czapce na głowie.

– Dlaczego idzie pan na Warszawę? – spytałem.

– A gdzie mam iść? Człowiek już dostaje kołowaczyny – odparł, zatrzymując się.

– Jak to, gdzie? Na Lublin, tam będzie zaciąg i nowa armia. Ja też tam idę.

- Kolejarz spojrzał na mnie i pokręcił przecząco głową.
- Chodź pan – wskazał rów przy drodze – usiądziemy, bo już czuję zmęczenie w nogach. Opowiem panu, co się tam dzieje.
- Usiedliśmy, a on mówił dalej:
- Bombardują bez przerwy, rozbili stację, na własne oczy widziałem, jak się paliła. Dobrze, że z życiem uszedłem. Tam nie ma co iść.
- Spojrzał na mijających nas ludzi.
- Czy oni wiedzą, gdzie idą i co ich tam czeka? Ja wiem, bo jeszcze dziś rano tam byłem.
- Skąd pan z domu? – zapytałem.
- Z Poznania. Tam już Niemcy.
- Ja z Warszawy.
- Opowiedziałem mu trochę o sobie, gdyż wydał mi się porządnym człowiekiem.
- Jeśli jest tak, jak pan mówi, to nie pozostaje mi nic innego, jak iść na wschód – powiedziałem. – Bo widzi pan ja sobie postanowiłem, że za żadną cenę nie dostanę się w łapy Niemców.
- Pokiwał głową z aprobatą.
- Będę przedzierał się na wschód tak daleko, jak tylko można. Kto wie, może nawet przyjdzie przekroczyć sowiecką granicę.
- Zdziwiło go to, co powiedziałem.
- A bo oni są lepsi, panie? – zapytał, nie oczekując odpowiedzi.
- Wiedziałem, że nie mam do czynienia z komunistą, ani nawet z sympatykiem, ale ten człowiek wzbudzał jednak zaufanie.
- Widzi pan – dodałem wyjaśniająco – ja nienawidzę faszystów, oni od dawna robią straszne rzeczy, wszędzie, gdzie wejdą.
- Pokiwał potakująco głową.
- Pomyślałem sobie, że moglibyśmy iść razem. Ominęlibyśmy Lublin, a potem zobaczymy. Mam rodzinę na Wołyniu, niedaleko Kowla. Zna pan Kowel?
- Czy znam Kowel? Panie, ile razy ja tam byłem. To ważny węzeł kolejowy. Ale gdzie mamy iść? Tam – wskazał ręką w kierunku Lublina – stoi w lasach nasze wojsko i bombardują. Tam, od strony Warszawy, też słyszać ciągle bombardowanie.
- Wiem – rzekłem po namyśle – mam mapę, możemy iść na wschód bocznymi drogami, a gdyby i to nie było łatwe, będziemy szli nocami, na przełaj, według gwiazd. Znam się na gwiazdach, umiem utrzymać właściwy kierunek.
- Popatrzył ze zdziwieniem, a ja wyjąłem mapę.
- Jesteśmy tutaj – wskazałem palcem – proponuję iść na Kock, wzdłuż rzeki Wieprz, a potem między Włodawą a Chełmem przeprawimy się przez Bug. Niemcy nie powinni nas dogonić. Zgadza się pan?
- Skinął potakująco.
- To niech pan teraz powie, jakie są najnowsze wiadomości?